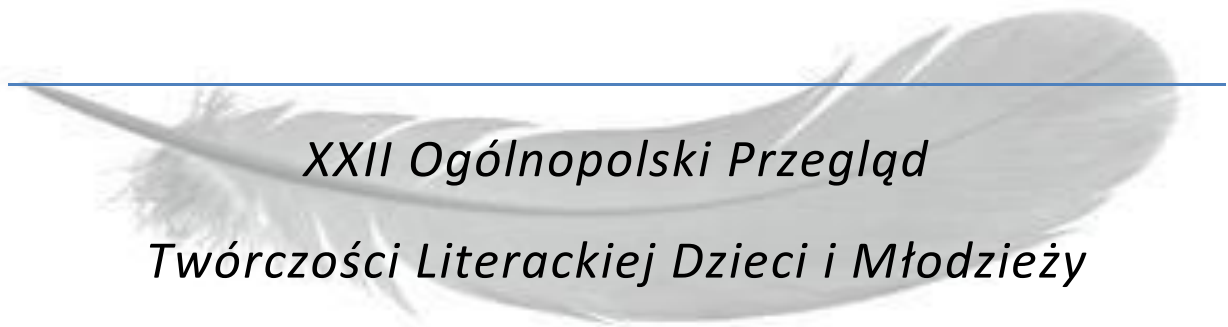


„Za kurtyną prozy zawsze jest liryka”

Kacze Pióro



XXII Ogólnopolski Przegląd

Twórczości Literackiej Dzieci i Młodzieży

*pod honorowym patronatem
Rektora Uniwersytetu Śląskiego*

Katowice 2016

Pałac Młodzieży

Placówka Wychowania Pozaszkolnego Miasta Katowice

„Kacze Pióro”

XXII Ogólnopolski Przegląd
Twórczości Literackiej Dzieci i Młodzieży

pod honorowym patronatem
Rektora Uniwersytetu Śląskiego

Cytat zaczerpnięty z wiersza Darii Sochy

Zachowano wersje autorskie opublikowanych tekstów

Opracowanie tekstów i skład:
Agnieszka Nowicka

Przedmowa i komentarze do prac:
dr hab. Iwona Gralewicz–Wolny

ISBN:

978-83-923948-8-4 publikacja elektroniczna w formacie PDF

978-83-923948-9-1 publikacja elektroniczna w formacie EPUB

978-83-946741-0-6 publikacja elektroniczna na nośniku

Wydawca:
Pałac Młodzieży
Katowice 2016

Jury „Kaczego Pióra”

Przewodnicząca:

dr hab. Iwona Gralewicz-Wolny

Członkowie:

mgr Agnieszka Sowińska

mgr Agnieszka Nowicka

Fundatorzy Nagród i przyjaciele Przeglądu:

Stowarzyszenie Czasu Wolnego Dzieci i Młodzieży

Pałac Młodzieży w Katowicach

Sieć Księgarni MATRAS

Wydział Promocji Miasta Katowice

Dziękujemy, dziękujemy, dziękujemy...

Drodzy Autorzy, Drodzy Czytelnicy,

„[...] aby dobrze pisać, trzeba zderzać rzeczywistości, eksperymentować, funkcjonować pomiędzy światami, zdobywać doświadczenie, poznawać nowych ludzi i języki” – to komentarz do twórczości Wioletty Grzegorzewskiej, poetki i prozaičky, autorki nominowanych do literackich nagród Nike i Gdynia „Gugul”¹. Przytaczam tę wypowiedź, bo celnie wskazuje ona na to, co w literaturze wydaje się najważniejsze, czyli spotkanie. Można je rozumieć na wiele rozmaitych sposobów, z których każdy jest równie inspirujący i atrakcyjny.

Dla autora będzie to spotkanie z własną wyobraźnią i jej wytworami, ze swoją przeszłością, która dostarcza mu literackiej materii, lub z lękami i obawami, jakie pisaniem swym próbuje oswoić – w każdym wypadku jest to bezcenne spotkanie z sobą samym, takim, jakiego nie można ujrzeć w zwykłym lustrze. Dla czytelnika będzie to spotkanie z Innym, kimś dobrze znajomym i bliskim, bądź przeciwnie, intrygującym czy wręcz odpychającym w swej inności, choć przecież przez to nie mniej ciekawym i wartym poznania. W obu wypadkach najważniejsze jest, aby na to spotkanie po prostu przybyć, poświęcić na nie swój czas i energię, przeżyć je świadomie, z zaangażowaniem. Napisać – przeczytać.

Ogólnopolski Przegląd Twórczości Literackiej Dzieci i Młodzieży „Kacze Pióro” już po raz XXII skupił osoby, które, mimo młodego wieku, odważyły się na spotkanie w literaturze – ze sobą i ze swoimi czytelnikami. Oby tych spotkań, udanych i satysfakcjonujących obie strony, było w przyszłości jak najwięcej.

dr hab. Iwona Gralewicz-Wolny

¹ K. Kazimierowska: *Cudzoziemka z własnym językiem*. „Tygodnik Powszechny” 2015, nr 30, s. 55.



Poezja

III nagroda za zestaw

w grupie wiekowej 13-15 lat

DARIA SOCHA

Z BOJSZOWY, 15 LAT

N IEMOWLĘTA POEZJI

My, młodzi poeci,
kwiaty na pustkowiu XXI wieku.
W tych niezwykłych czasach,
pośród odkryć naukowych,
pośród lotów w kosmos.
Pośród wojen, nędzy i głodu.
Podlewani miłością, uśmiechem, pięknem.
Ogrzewani pierwszymi promieniami wiosny.
Prosimy, nie zakopujcie nas w piachu codzienności,
odsłońcie niebo poezji.
Za kurtyną prozy zawsze jest liryka.
Szukajmy jej...
Ona jest i dziś pośród nas...

N ADZIEJA

Przychodzi pierwsza, wychodzi ostatnia.

Jak promyk słońca w pochmurny, szary dzień
pokazuje lepsze jutro.

Pcha do działania.

Zawsze w odległych zakamarkach serc

każe biec dalej.

Nigdy nie pozwala poddać się przed metą.

P RZEBACZENIE

Najtrudniejsze zadanie ludzi

Aby uścisnąć sobie dłonie musimy je umyć

Z urazy

Z żalu

Z nienawiści

W ciepłych łzach

Po to by wreszcie na nich wypisać zgodę

Dopiero wtedy z sercu

nieśmiało jak słońce po burzy rozbłyśnie promyczek szczęścia

Uczuciowe, lecz nie czułościowe wiersze układają się w głos młodego pokolenia, które próbuje znaleźć swoje miejsce w dzisiejszym świecie. Droga, jaką proponuje Autorka, wiedzie przez poezję jako lekcję wrażliwości i indywidualności. Wpisana w każdy z przedstawionych utworów nuta optymizmu pozwala wierzyć w skuteczność tej recepty.



Wyróżnienie za zestaw

w grupie wiekowej 13-15 lat

PAULINA TYC

Z PAWELI MAŁEJ, 14 LAT

GRANICA
Koniec smugą białą
Mgłą
Tak gęstą
Z daleka jest bramą
Niedostępną
Zamkniętą
Z bliska natomiast
Zastoną tak cienką
Jedynie granicą
Między życiem
A śmiercią

S TEROWANY PRZEZ CZAS

Czas to rzeka

Płynąca w przestworzach

Zawsze

Do ujścia życia

Nasze historie tratwami

Belkami zbitymi przez czas

Pozwalamy

Dryfować

Sterować sobą

Przez wiatr

Ostatnie Tchnienie

Utwory zmierzające w dobrym kierunku, przyciągające uwagę czytelnika, skłaniające do namysłu i ponownej lektury. Oszczędna w słowach, wręcz aforystyczna poezja, która wsparta doświadczeniem i wzbogacona o indywidualny rys tak w zakresie formy, jak i treści, ma szansę znaleźć swoich wiernych odbiorców.





I nagroda ex aequo za zestaw

w grupie wiekowej 16-20 lat

MARTA TYCHOWSKA

Z BIEDRZYCHOWIC DOLNYCH, 18 LAT

CISZA

igrałam z tobą

jak z końcem

zdania

przywiązaniem

wypełniając przestrzeń

między wersami

chowałam echo

jałowego serca

słowo po słowie

milczenie

stało się ciałem

i zamieszkało

między nami

N ADZIEJA

urodziłam się wczoraj

zamieszkałam na końcu zdania

postawiłam tam dom

odchowałam dzieci

spaliłam drzewo

pławiłam się w samotności

pławiłam w luksusie

oddychając dymem

czekając na grudzień

znowu

urodziłam się wczoraj

i jak matka głupców

umieram ostatnia

W

INNA

możesz mnie rozliczyć

z win

martwych i żywych

z niepewności matek

z obojętności ojców

z naiwności losu

jestem Ewą

więc obwiń mnie

o głodne serce

Stonowana, a jednocześnie pełna wewnętrznego drżenia opowieść o relacjach ze światem, z innym człowiekiem i z sobą samą. Nad lirycznymi monologami unosi się subtelna aura kobiecości, postrzeganej jako swoisty determinant losu, ale też filtr pozwalający patrzeć na rzeczywistość w sposób jedyny i niepowtarzalny. Największą zaletą jest tu asceza wyrazu, uważne ważenie słów – postawa reprezentowana tak przez bohaterkę wierszy, jak i przez ich autorkę.



I nagroda ex aequo za zestaw

w grupie wiekowej 16-20 lat

ALEKSANDRA PIŁAT

Z OPOŁA LUBELSKIEGO, 17 LAT



nikt nie dba

o moje śniadanie

o obiad

kolację

czy zjadłem, czy głoduję

czy jestem

czy umarłem

nie interesuje nikogo

czy mam się w co ubrać

czy mi się buty przetarły

czy się guzik nie urwał

i może przyszyć trzeba

koniec do końca

nie pyta mnie nikt

o rodzinę

jak tam matka

czy się z ojcem rozwiodła

czy wszyscy zdrowi

czy żyją wszyscy

nikt ze mną nie rozmawia

o polityce

o pogodzie paskudnej

styczniowej

o tym jak to źle

jak niedobrze

nie dzwonił nikt do mnie
od dawien dawna
i nie pamiętam już nawet
czy w ogóle mam telefon

nikt nie zwraca uwagi
nawet psy bezdomne
choć karmię je
jak własne

* * * jestem
panem świata obłudy
stworzyłem to wszystko
sam
wyrzeźbiłem boga z gliny
homo creator
homo architectus
jedyną słuszną prawdą
ja
przyczyna i skutek
cel wszystkiego
początek i koniec
jedyny słuszny
nie dotykaj tu niczego
rozpadną się
kłamstwa misterne
namiętnie tkane
dzieło mojego życia
mój złoty tron
korona



kim jest ten człowiek
którego co rano widzę
znajomy choć obcy
daleki
jakiś nie taki
wzrok nieobecny
kimże on jest?
ot, marną kopia
nikim więcej
Tadeuszem Różewiczem
od siedmiu boleści
marnym Borszewiczem
niedokończonym
idzie gdzieś –
gdzie, dokąd
chciałbym wiedzieć
powłóczy nogami
machinalnie
wyuczonym ruchem
jednak nieświadomym
z karku wyrastają mu
dwie głowy
jedna gwiazd wypatruje z miłością
druga wykrzywiona
w dół spuszczone
kto to taki

Stadium samotności współczesnego człowieka, który w otaczającej go rzeczywistości nie potrafi znaleźć punktu zaczepienia do zbudowania trwałej, dającej siłę i nadzieję relacji. Obcość jest w tej poezji doświadczeniem globalnym – bohater liryczny odczuwa ją tak wobec świata, jak i wobec siebie samego. W takim kontekście słowo poetyckie staje się metodą wiwisekcji, ale też, w jakimś sensie, autoterapii. Wszak werbalizacja uczuć jest zawsze drogą do ich oswojenia.



1



Proza

Wyróżnienie ex aequo

w grupie wiekowej 10-12 lat

KALINA WÓJCIAK

Z DĘBICY KASZUBSKIEJ, 11 LAT

POMPEK KALINY

Najpierw chciałbym się przedstawić. Jestem Pompek – rudzielec, mam dwa lata, kochaną panią – Kalinkę, która ma dwóch braci Kubę i Maćka. Jeszcze mam dwie przyjaciółki, sunię Sabinę i kotkę Agatę. Fajna rodzinka, prawda?

Jeszcze niedawno byłem szczeniakiem i wszyscy się mną zajmowali. Kalinka to mnie ciągle nosiła na rękach, przynosiła mi pluszowe zabawki i zabierała na spacer.

Teraz jestem już właściwie dorosły i czasem muszę się przymilać, żeby porzuciła mi pięteczkę. Zresztą Kalinka też jest starsza i ma duuużo lekcji i ciągle musi pisać jakieś wypracowania i uczyć się do sprawdzianów. Szkoda, że nie potrafię jej pomóc.

Trochę się znam na przyrodzie, bo często biegam do lasu i umiem rozpoznać wszystkie drzewa. Wiem, gdzie ma swój domek kret i gdzie uciekają myszy, gdy Agata je goni. Ale Kalinka ma całkiem inne zadania domowe.

A w ogóle to myślę, że dobrze, iż jestem psem i nie muszę chodzić do szkoły, bo ja jestem śpiochem, a moja biedna pani musi tak wcześnie wstawać. I jeszcze ma bardzo daleko do szkoły.

Ale do rzeczy. Ja mam teraz ogromne zmartwienie. A właściwie to sam nie wiem, czy mam się martwić czy cieszyć. Krótko mówiąc, dowiedziałem się niedawno, że powiększy się nam rodzina, bo mama mojej pani spodziewa się dziecka.

W naszym domu dzieją się teraz straszne rzeczy. Już od tygodnia trwa jakiś remont. Podobno szykują sypialnię maluszkowi. Wszędzie pełno kurzu. Przeganiają mnie z pokoju do kuchni i z powrotem. Krzyczą na mnie, że zostawiam ślady. Jak mam nie zostawiać śladów, przecież nie umiem fruwać. Agata rzadko się ostatnio pojawia w domu i śpi w kotłowni. Sabina ma wypasioną budę na podwórzu, a ja co? Mam posłanko w pokoju Kalinki koło jej łóżka i muszę jakoś tam dotrzeć i nikt mnie nie rozumie.

Czasem siadam sobie cicho w kącie ogrodu i rozmyślam, co teraz będzie. Najbardziej się martwię, czy moja pani będzie mnie nadal kochała, czy nie wyrzuci mnie ze swojego pokoju.

Ostatnio przeprowadziła ze mną poważną rozmowę. Powiedziała, że jak to nowe dziecko już z nami będzie, to nie będziemy mogli już tak się wygłupiać jak do tej pory, nie będę mógł szczekać w domu i jeszcze wielu rzeczy nie będę mógł robić. Masakra!

Myślałem nawet, czy nie uciec z domu, ale dokąd? Kto mi da jeść? I czy w innym domu będą mnie kochali...

Ale może nie ma co się martwić na zapas. Może trochę przesadzam. Muszę się wziąć w garść, przecież jestem mądrym psem. Tak powiedziała ostatnio moja pani, a ja jej wierzę.

Czekam więc cierpliwie na tego nowego członka rodziny. Ostatnio podsłuchałem, że to będzie chłopiec, więc może my chłopaki jakoś się dogadamy.

Dwa tygodnie później

No, nareszcie się urodziło to dziecko, ale w domu wcale nie jest spokojniej. Ciągłe przychodzą goście i wszyscy podziwiają, jaki ten dzidzius jest cuuudny, milusi, a tak, między nami, to wcale nieprawda, bo jest czerwony, prawie łysy, a poza tym strasznie krzyczy. Ale co tam, może ja się nie znam. Ubiegłej nocy zasnąłem dopiero nad ranem, bo cuuudny dzidzius miał kolkę i cały dom się trząsał, gdy mama i tata Kalinki na zmianę biegali z nim po pokoju. Masakra!

Oj, zapomniałbym, on ma na imię Leonek. Okropnie, co? Niestety, Kalinka też jest nim zachwycona, ale ja swoje wiem. Poza tym na razie to się z pewnością nie dogadamy, bo on w ogóle nie umie mówić, ale za to jak głośno płacze!

Kuba i Maciek coraz częściej mają dużo spraw do załatwienia poza domem. Myślę, że trochę uciekają od Leonka. Raz nawet, gdy Leonek znowu „koncertował” – tak mówi tata Kalinki, zabrali mnie ze sobą na długi spacer do lasu. Dawno im się to nie zdarzyło. No, nie powiem, byłem szczęśliwy, bo na dworze było wyjątkowo ciepło i las tak pięknie pachniał i można było poganiać za owadami.

Jeszcze miesiąc i będą ferie. Tak się cieszę, bo wiem, że moja pani będzie miała dla mnie więcej czasu.

Miesiąc później

No i co, znowu rozczarowanie. Moja pani zabrała mnie na spacer dwa razy. Zamiast ze mną teraz Kalinka wychodzi na spacer z Leonkiem i swoimi koleżankami – Kasią i Amelką. Phi, też mi towarzystwo.

Na początku zabierała też i mnie, ale gdy któregoś dnia zaszczekałem na Freda – wrednego kota sąsiadów i obudziłem Leonka, to się na mnie zezłościła i nawet oberwała po ogonie. Ja przecież nie wiedziałem, że nie zawsze mogę szczekać, bo niby skąd pies ma o tym wiedzieć.

Co tu ukrywać, czuję się samotny i zaniedbany. Nikt mnie już nie pyta:

– Pompuś, a może masz ochotę na coś smacznego?

Nikt mnie już nie głaszcze ani nie przytula. To znaczy... nie to, że nigdy, ale naprawdę bardzo rzadko. Próbowiałem nawet przymilać się do Maćka, ale on ma na głowie jakieś egzaminy i jest teraz strasznie zajęty. Wciąż tylko powtarza, że nie ma czasu, bo za niedługo ma maturę. Niewiele z tego rozumiem i sam już nie wiem, co robić.

Ostatnio coraz częściej przesypiam noce w budzie u Sabiny, bo tam jest święty spokój.

A może ucieknę z domu? Tylko ciekawe, czy ktoś w ogóle zauważy, że mnie nie ma. Wszyscy są teraz tak bardzo zajęci Leonkiem albo sobą. Muszę to przemyśleć. Może gdyby razem z Sabina, byłoby nam raźniej. Nie wiem tylko, co ona na to.

Dwa miesiące później

Sabina po długich namowach dała się jednak namówić na ucieczkę i siedzieliśmy właśnie w lesie niedaleko domu w gęstych świerkach. Cały czas obserwowaliśmy nasze podwórze. Minęło już pewnie pół dnia, ale nie było widać, żeby ktoś się o nas martwił. Słyszeliśmy wprawdzie, jak tata Kalinki pytał mamę, czy nas nie widziała i dokąd mogliśmy pójść, ale mama tylko stwierdziła, że jak zgłodniejemy, to wrócimy. Chyba miała rację. Już od godziny burczało nam w brzuchu.

Sabina była zła, że uciekliśmy, ale ja czekałem na powrót Kalinki ze szkoły.

No i doczekałem się. Kalinka, gdy tylko zjadła obiad, zaczęła biegać po podwórzu i przeszukiwać wszystkie zakamarki. Wołała: „Poompek!” i „Sabiiiiina!”. Na zawołanie Kalinki Sabina stanęła na równe nogi i chciała wracać, ale ją ubłagałem, by jeszcze trochę wytrzymała. Trochę mi było żal mojej pani, ale co tam. Pomyślałem, że niech się pomartwi, może zrozumie, że ja też cierpię.

Przewróciłem się na drugi bok i zasnąłem wtulony w grube futro Sabiny.

Gdy się obudziliśmy, była ciemna noc. Nagle usłyszeliśmy trzask gałęzi. Chyba ktoś wybrał się na spacer do lasu. Ale o tej porze?

Po chwili wszystko już było jasne. Rozpoznaliśmy po krokach Kalinkę, Kubę i Maćka. Szukali nas i bardzo się martwili. Siedzieliśmy cicho jak myszy pod miotłą, ale gdy Kalinka zaczęła płakać, że już mnie pewnie nigdy nie zobaczy i, że jestem jej ukochanym Pompuśkiem i, że to pewnie pomysł Sabiny, żeby uciec z domu, nie wytrzymałem i wyszedłem na drogę. Nigdy nie zapomnę jak mnie do siebie przytuliła i ucałowała mój mokry nos.

Znowu byłem najszczęśliwszym psem na świecie. Ciekawe jak długo?

Koniec wakacji

Ojoj! Chyba żadne wakacje nie były takie zwariowane, jak tegoroczne.

Zaczęło się wszystko od wielkiej uroczystości z okazji chrztu Leonka. I znowu nie ja byłem najważniejszy tylko Leonek. Masakra. Znowu pełno gości i znowu wszyscy podziwiali tego brzydala. No, może nieco przesadziłem, bo wyładniał. Nie jest już czerwony i nawet mu trochę urosły włosy. Ale piękny to on nadal nie jest i do tego jeszcze nie umie chodzić, tylko leży i macha rękami i nogami, no, i jak już wcześniej wspominałem, okropnie się drze.

Właściwie to tego dnia było nawet miło. Nikt na mnie nie krzychał, a i ja bardzo się starałem, żeby nie przynieść gospodarzom wstydu, ale smutno mi było, że ze stołu nic nie można było spróbować, choć wszystko tak pięknie pachniało. Taki już nasz psi los. Nie to, że kiedykolwiek byłem głodny, bo mama Kalinki dba o psie i kocie brzuszki, ale pachniało...

Najgorsze jednak było to, że wujek Ździcho przyjechał ze swoim jamnikiem Bilem, który był potwornie zarozumiały. Najpierw udawał, że nas w ogóle nie zauważa, a potem stwierdził, że jest ze stolicy i nie ma o czym z nami rozmawiać. A to bufon jeden paskudny!

No to my z Sabiną też się do niego nie odzywaliśmy, ale gdy po obiedzie wybraliśmy się nad rzekę, pocłapał za nami z zadartym nosem. Dopiero wtedy okazało się, że to okropna fajtlapa. On nawet nie umiał przejść przez kładkę. Cóż, trzeba przyznać, że nie było to łatwe, bo kładka trochę się kiwała i brakowało jej jednej deseczki, ale co to dla nas wiejskich superpsów.

Gdy Sabina i ja przedostaliśmy się na drugą stronę i byliśmy już prawie pod lasem, Bil zaczął się przymierzać do wejścia na kładkę. Nagle, chlup! I nasz mądrała wylądował

w wodzie, a tak naprawdę w błocie, bo brzeg rzeki był dość mocno zamulony. Wydostał się w końcu na łąkę, ale wyglądał naprawdę żałośnie. Jego czarna błyszcząca sierść była polepiona od rzęsy i, co tu ukrywać, brzydko pachniała. Trochę mi go było żal, ale zasłużył sobie. Tak się nie postępuje. Nikt nie jest lepszy od drugiego tylko dlatego, że mieszka w mieście.

Jeszcze gorzej było, gdy wróciliśmy do domu, bo wujek Ździcho natychmiast wsadził Bila do wanny, a potem przywiązał go do budy Sabiny i biedak musiał siedzieć tam do wieczora. Chciałem go nawet pocieszyć, ale ten zarozumialec odwrócił się do mnie ogonem. Przecież to nie moja wina, że on jest taką niezdara.

Po przyjęciu przez jakiś czas było trochę spokoju. Przyznam, że się nawet nudziłem, ale w połowie sierpnia wydarzyło się coś nadzwyczajnego. Wyjechaliśmy całą rodziną do domku nad morzem. Pogoda była taka piękna, że całe dni spędzaliśmy w lesie lub na plaży. Wieczorem Kuba i Maciek rozpalali ognisko i siedzieliśmy sobie do późnej nocy. Leonek smacznie zasypiał i nikomu nie dokuczał. Aż trudno było uwierzyć. Chyba zaczynam go lubić.

Las latem jest wspaniały! Prawie pod każdym krzaczkiem i listkiem ktoś mieszka. Z niektórymi znamy się doskonale. Mimo specjalnej obroży, jaką kupił dla każdego z nas tata Kalinki, nosiliśmy po kilka z nich na grzbiecie. W tym roku po raz pierwszy spotkałem zaskrońca, jak się wygrzewał na słońcu. Był nawet miły.

Nie lubię tylko mrówek, bo jak im się stanie na drodze, to kąsają, ale staram się ich unikać, bo Kalinka mówi, że one są bardzo pracowite i pożyteczne. Ja tam nie widziałem, żeby pracowały, bo czy można nazwać pracą bieganie tam i z powrotem. Ja też tak potrafię, ale nikt mnie nie chwali, że jestem pracowity. Nic z tego nie rozumiem.

Pod koniec pobytu w domku letniskowym wszyscy pojechaliśmy do miasta. Było super, choć kagańce na pyskach strasznie przeszkadzały w zabawie. Byliśmy w parku rozrywki, Kalinka szalała na zjeżdżalniach, tylko Leonek cały czas spał.

Szkoda, że wakacje już się kończą.

Och, zapomniałbym o jeszcze jednym wspaniałym wydarzeniu. Gdy już wyjeżdżaliśmy do domu poznałem przepiękną sunię Lejdi i chyba jestem zakochany. Obiecaliśmy sobie spotkanie za rok. Już nie mogę się doczekać.

Sympatyczna, bezpretensjonalna opowieść o zwierzętach, przywodząca na myśl najlepsze tradycje tego nurtu, z książką Jana Grabowskiego „Puc, Bursztyn i goście” na czele. Zwierzęcy narrator cieszy się sympatią czytelnika, począwszy od pierwszego zdania historii, a jego wakacyjne przygody wręcz domagają się dalszego ciągu. Romansowy wątek w zakończeniu tekstu aż prosi się o rozwinięcie.



Wyróżnienie ex aequo

w grupie wiekowej 10-12 lat

EMILIA GÓRECKA

Z RUDY ŚLĄSKIEJ, 11 LAT

TAJNA MISJA OPUSZCZENIA POKOJU

Obudziłam się o szóstej. Leniwie wstałam z łóżka. Spojrzałam za okno i zorientowałam się, że wcale nie jestem w domu. Czasami moja orientacja w terenie naprawdę zawodzi. Kiedyś obudziłam się w poniedziałek, a mój niezastąpiony mózg odnotował, że jest sobota. Nie wierzycie? Moja nauczycielka również. Zaczęłam rozmyślać, jak udałoby się zaoszczędzić czas, aby móc jeszcze trochę pospać. Niestety mój nieziemsko kreatywny umysł nic nieziemskiego nie wymyślił. Zrezygnowana powlekłam się do łazienki. Jak zawsze przy myciu zębów, oddałam się refleksjom na temat sensu życia. Co innego miałam robić? Zastanawiałam się, dlaczego ludzkość jeszcze nie wymyśliła automatu do mycia zębów? Dlaczego kilka razy dziennie musimy machać szczotką jak roboty? Nawet przy posiadaniu niezwykle nowoczesnych szczotek elektrycznych, które mimo swojego geniuszu, nie myją zębów automatycznie. Komu chce się codziennie machać szczoteczką niczym zawodowy wioślarz? Geniusze mogli stworzyć, na przykład samo-włączające się światło. Po co? Przecież ta czynność trwa tylko pięć sekund! Pokrętna logika. Nic tylko robić wszystko, aby wynaleźć automatyczną myjkę do zębów. Zeszłam do stołówki. Nie chciało mi się jeść, ale mój mózg podpowiedział mi, że jednak muszę. W efekcie na moim talerzu znalazły się dwa zgniecione, niedokładnie polukrowane dounaty. Mniam!

Po śniadaniu zaczęłam pracę: składanie, przyklejanie, malowanie. Uwaga! Jeśli jesteście wynalazcami, konstruktorami lub geniuszami – proszę, moglibyście wynaleźć automatycznie powiększające się walizki? Gdyby Leonardo da Vinci nie zajmował się maszynami latającymi, tylko walizkami na domki letniskowe, na pewno nie musiałabym teraz robić wszystkiego od nowa. Nie da się przecież przewieźć dwumetrowego stroju żuka samolotem! Najgorsze miało się okazać przy klejeniu. Wzięłam wszystko co potrzebne do zrekonstruowania ogromnego stroju stonki, oprócz wody (całkiem zrozumiałe ponieważ we włoskim akademiku nie było spartańskich warunków). Myślałam, że nic nie może się zepsuć, ale moja intuicja bardzo mnie zawiodła. Chciałam iść po wodę. Przeszłam przez salę nic nie uszkadzając (wielki sukces). Problem pojawił się kiedy chciałam otworzyć drzwi... zamknięte! Myślałam, że trzeba otwierać w drugą stronę. Zamknięte!!! Załamalam się psychicznie. Nie mogę wyjść, nie skończę projektu, nie zdążę na pokaz, nie napiję się wody, umrę z pragnienia i głodu. Wyszłam jeszcze wiele możliwości na temat tego co może mi się stać. Jedną

z najbardziej absurdalnych było nagłe pojawienie się wielkich misio-żelków i trzęsienie ziemi spowodowane przybyciem dwudziestometrowego Gargamela . Po pewnym czasie stwierdziłam, że to wcale nie byłoby takie złe. W wieku przedszkolnym bardzo interesowałam się Japonią. Wiedziałam o niej wszystko. Także to, że w Japonii dzieci uczą się w szkołach, jak zachować się podczas trzęsienia ziemi. Gdybym nadal się tym interesowała, mogłabym pisać maturę z kultury japońskiej. Pomyślałam, że poradziłabym sobie w takiej sytuacji. Wyobraziłam sobie siebie, ratującą ludzi i smerfy, siebie uspokajającą dzieci, siebie na pierwszych stronach gazet i wywiady ze mną, które biją rekordy wyświetleń na YouTube. Zrobiło mi się ciepło na sercu, pomyślałam, że na pewno sobie ze wszystkim poradzę. Stwierdziłam, że warto byłoby podjąć jakieś działania. Próbowałam skonstruować nowoczesny wytrych. Oto kolejna przyczyna, dlaczego nie chcę zostać złodziejem (oczywiście jestem dobrą dziewczynką i nie chcę okradać ludzi). Bycie złodziejem się nie opłaca, a skonstruowanie dobrego wytrychu jest strasznie trudne (dzieci nie bieżcie przykładu z mojej teorii). Moim kolejnym pomysłem było zadzwonienie po straż pożarną. Jestem na tyle zapobiegawcza, że zawsze przed wyjazdem za granicę, zapisuję awaryjne numery telefonów. Zadzwoniłam. I co? Nic! Italia to cywilizowany kraj (tak powiadają), ale jak można w dzisiejszych czasach nie znać angielskiego. Zwykli ludzie okej, ale służby alarmowe! Więc gorąco apeluję do wszystkich. Najlepszym miejscem na urlop jest Polska. Polacy jeżdźmy nad Morze Bałtyckie! Wracając do historii. Nie dogadałam się po angielsku, więc stwierdziłam, że zacznę coś robić. Zamiast rozrzedzić klej wodą, rozrzedziłam go śliną (macie prawo powiedzieć bleee...). W sytuacjach kryzysowych często dostaję głupawki, tak było i tym razem. Aby umilić sobie czas, zaczęłam śpiewać „Wannabe”, „Lean on” i „Toka Toka”. W śpiewającej atmosferze skończyłam pracę. Była godzina szósta, a zaczęłam o dziesiątej. Poczułam się na powrót przytłoczona tą całą dziwną sytuacją. Jedyne co mogłam zrobić, to myśleć i spać. Wybrałam to drugie. Ułożyłam się na łóżku i od razu zasnąłam.

Jakaś dziewczyna siedziała obok mnie. Przyglądałam jej się badawczo. Na twarzy widniał wyraz głębokiej zadumy. Chyba mnie nie zauważyła. Szybko wstała i poszła. Pobiegnęłam za nią. Mknęłam przez labirynt korytarzy, nie wiedząc dlaczego. Pewnie z ciekawości. Nagle otoczył mnie ogień. Zbliżał się do mnie coraz szybciej, a ja zamiast myśleć co zrobić, myślałam jak to się stało, że się tu znalazłam. Nie widziałam dla siebie żadnego ratunku. Ognisty krąg był tylko metr ode mnie. Zamknęłam oczy i w spokoju poświęciłam się medytacji (aż samą siebie zaskoczyłam). Poczułam falę gorąca oblewającą moje ciało. Nie było to jakoś szczególnie przyjemne, ale na pewno do zniesienia. Z niecierpliwością czekałam na dalszy rozwój wypadków.

Nagle znalazłam się w innym miejscu (nigdzie nie zobaczyłam włoskich komunikatów). Byłam w dużym zacienionym budynku. Chyba uniwersytetu. Na każdym fragmencie ściany wisały plansze, plakaty i ogłoszenia. Olśniło mnie. To był gmach Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Nikogo nie było w środku. Puste korytarze, sale. Nie byłam przyzwyczajona do takiego widoku. Zastanawiałam

się, co to może znaczyć. Ja to mam szczęście do pustych i zamkniętych miejsc, prawda? Co też miałam robić? Nie wiedziałam. Zaczęłam dokładniej przyglądać się każdemu z plakatów. Niesamowite, stałam się mądrzejsza w kilka minut o tyle wiadomości. Niestety, na razie żadnych przydatnych do przeniesienia się do Włoch treści nie znalazłam. Trudna sprawa. Nagle spojrzałam w kąt. Zauważyłam inny niepozorny plakat. Ciekawość zwyciężyła. Ospale podeszłam do ściany i przeczytałam „Dlaczego życie jest piękne? Życie jest piękne, ponieważ kiedy wydarzy się coś złego wiadomo, że po chwili będzie dobrze. Uśmiech przegoni ciemne chmury, tak jak słońce przegoni deszcz!”. Hmm... Mądry tekst.

– Może i moja sytuacja się polepszy? – pomyślałam. Obok plakatu znajdowały się drzwi. Sala numer 53. Postanowiłam wejść do środka. A co w środku? Ekspozyty, modele, tablice, kolby, menzurki, fiolki i różne dziwne urządzenia. Chyba mnie już znacie, a jeśli jeszcze nie, to wiedźcie, że nie byłabym sobą, gdybym nie nacisnęła jakiegoś przycisku. Tak właśnie zrobiłam. Nagle zaczęło migać jakieś światło. Stojący w kącie szkielek, zaczął się poruszać. Krzyknęłam z przerażenia. Szybko zacisnęłam powieki. Nie chciałam już nic widzieć. Nie te straszne rzeczy!

Kiedy się obudziłam, pobiegłam do drzwi i jeszcze raz sprawdziłam czy są zamknięte. Niestety, zamknięte! Pomyślałam, że albo ktoś zgubił klucz, albo jestem podejrzana o jakąś zbrodnię i we włoskim więzieniu zabrakło już miejsc. W tym momencie zorientowałam się, że to już dzień wystawy. Po złych chwilach zawsze następują dobre i szczęśliwe. Wiedziłam, że muszę zrobić coś totalnie szalonego aby tym razem sprawić, żeby chwile spędzone na tym konkursie były cudowne. W końcu raz się żyje!!!

Na początku dokładnie owinęłam szyję dwoma szalami (nie pytajcie skąd się tam wzięły). Cały mój strój żuczka owinęłam skakanką. Do skakanki przypięłam smycz na klucze, tak aby skakanka się nie rozwiązała. Do smyczy przywiązałam jeszcze długi na pięć metrów sznurek. Wyszłam przez okno, cały czas trzymając się parapetu. Ściągnęłam z szyi jeden z szalików i wykonałam wielki supel na uchwycie. Następnie nawlekłam na niego smycz z żukiem (kostiumem oczywiście), tak aby wisiął na nim jak na tyrolce. Teraz opowiem wam trochę o sprawiedliwości życia. Jakiś kostium robaka ma więcej praw ode mnie!!! Gdyby to było prawdziwe zwierzę, to jeszcze bym zrozumiała (wiecie gatunek pod ochroną, skarb przyrody itp.), ale to tylko jakaś sterta papieru! Ja mogę skrócić kostkę, rozbić kolano, a jemu nic nie może się stać i musi być odpowiednio zabezpieczony. Nie wspomnę o tym, że ja muszę się męczyć ze schodzeniem, a on z gracją zjeżdża sobie na linie. Taa... prawdziwe życie! Dobrze wróćmy do mojego opowiadania! Odczułam dużą ulgę schodząc na stały grunt! Ufff... Pierwszą rzeczą jaką zrobiłam, było zapytanie się pierwszej napotkanej osoby, „Która godzina?”. Złapałam się za głowę, kiedy usłyszałam, że dwunasta. Mój występ zaczynał się za dziesięć minut!!! Zdałam sobie sprawę, że muszę szybko coś wymyślić, aby nie przegrać całej tej wystawy. Doszłam już tak daleko! Głównie to dało mi motywację do dalszej pracy. Teraz się pochwalę. Jestem dobra w znajdowaniu

szybkich i dobrych rozwiązań w kryzysowych sytuacjach! Wiedziałam, że muszę wykombinować sposób, który w mniej niż dziesięć minut pozwoli mi pokonać kilometr z dwumetrowym kostiumem żuczka na plecach. Kiedy o tym myślałam, moje położenie od razu skojarzyło mi się z Turbo Ślimakiem. Przydała się odrobina humoru w nieciekawej sytuacji! Wymyśliłam! Przywiązałam po jednym szalu do mojego stroju. Wyglądało to trochę jak niezawiązana czapka! Drugie końce chust oplótłam sobie wokół dłoni. Następnie rozłożyłam je, naciągając w ten sposób materiał. Oparłam konstrukcję na plecach i niczym wół juczny pobiegłam, jak na skrzydłach, na międzynarodową wystawę!

Weszłam. Przydzielili mi numerki. Stałam na miejscu, uff... wreszcie mogłam odpocząć! Sędziowie podeszli. Z początku ich miny były bardzo surowe. Potem, zaczęli się do mnie uśmiechać. Może po prostu nabrałam pewności siebie i zaczęłam wszystko widzieć w pozytywnym świetle. Niezależnie od tego czułam, że zrobiłam wszystko co w mojej mocy, aby wygrać ten konkurs. Właśnie dlatego byłam z siebie, prawdziwie, dumna. Myślałam, że nie dam rady, że stanie się coś złego, że nigdy nie wyjdę z sali robót, i że nigdy sobie nie poradzę! Wiedziałam, że dla mnie już wygrałam. Czy dla sędziów też? To się dopiero okaże! Nie było to już dla mnie aż tak ważne! Wiedziałam, że zrobiłam wszystko na co mnie było stać!

Wielkie ogłoszenie wyników odbywało się wieczorem. Kilka tysięcy osób zebrało się na wielkiej hali. Widownia prawie pękła z napięcia. Kto wygra? Kiedy speaker miał już ogłosić wyniki naszych zmagania, atmosfera była napięta do granic wszelkich możliwości.

Na koniec przytoczę wam jeszcze wierszyk, który na pewno pomoże wam pokonać strach oraz przezwyciężyć wszystkie przeszkody i trudności, (których chyba nie brakuje)!

*Wiedz, że nic nie może wiecznie trwać,
więc przestań się problemów bać!
Traktuj je jak wyzwania,
Ciesz się z ich pokonywania.
Powtarzaj ten wierszyk kiedy
jest Ci smutno, a wtedy
będziesz żył, żyła wesóło,
tak jak wszyscy na oko!*

Acha! Jeszcze jedno... WYGRAŁAM!!!

Największą zaletą tego opowiadania jest jego chaotyczność będąca pochodną bujnej wyobraźni Autorki. Jej dewiza – jak się zdaje – brzmi: pisać, gdzie oczy poniosą. Kolejne, luźno powiązane sceny stają się manifestacją radości pisania, nieskrępowanej niczym narracji, w której wszystko się może zdarzyć. To naprawdę Szczęśliwa Autorka!





III nagroda

w grupie wiekowej 13–15 lat

JULIA RUPIK

ZE ŚWIERCZYŃCA, 15 LAT

BIAŁY POKÓJ

Nie pamiętałam, co stało się przed wypadkiem. Gdy próbuję się wysilić, mogę zobaczyć tylko rozmazane kształty lub nic nie mówiące ostre światła. Paradoksalnie jednak, doskonale pamiętam wypadek.

Siedziałam na tylnym siedzeniu obok mojej najlepszej przyjaciółki, Treffy. Ktoś z przednich foteli – kierowca Mike lub pasażerka Kenna – włączył chwilę wcześniej radio i samochód wypełniały dźwięki najnowszej piosenki Panic! At The Disco. Nie znałam zbyt dobrze słów, natomiast Treffy i Mike śpiewali wykrzykując refren na cały głos. Uśmiechałam się i wyglądałam przez okno, podziwiając niknący w mroku, tajemniczy las.

Później wszystko stało się bardzo szybko. Mike, śpiewając, zaczął wymachiwać rękami, stracił kontrolę nad kierownicą i zjechał na lewy pas. Pamiętam, że mocno nami szarpnęło, a ja uderzyłam głową o coś twardego. Tu kończą się moje wspomnienia.

Właściwie, dlaczego się nad tym zastanawiam? Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że otacza mnie ciemność, a ja nie mogę poruszyć żadną kończyną, ba, nawet nie potrafię otworzyć oczu. Powoli zaczynałam panikować, jednak zmusiłam się do spokoju. W jakimkolwiek miejscu się teraz znajduję – choć możliwe, że umarłam – wszystko lepsze od roztrzaskanego samochodu. Siłą woli spróbowałam zmusić się do poruszenia choćby małym palcem. Nic z tego. Udało mi się tylko gniewnie zamruczeć.

Nagle rozbłysło przerażająco jasne światło. Otworzyłam oczy, zamrugałam i przewróciłam się do tyłu. Zdezorientowana powoli się podniosłam i zdumiona rozejrzałam dookoła.

Znajdowałam się w całkiem pustym pomieszczeniu. Ubrana w to, co miałam podczas wypadku, powoli zrobiłam jeden krok na przód. Czułam się dziwnie lekka, co nawet zaczęło mi się podobać, dopóki nie zauważyłam krwistej plamy na koszulce, w okolicach łokcia. Zmarszczyłam brwi i niepewnie spróbowałam podnieść rękaw zielonej bluzki, jednak zachowywał się tak jakby stał się moją drugą skórą. Nie mogłam go przesunąć. Znów prychnęłam sfrustrowana. Co tu się działo? Czyżbym naprawdę umarła? Taka alternatywa

naprawdę mi się nie podobała. Miałam tyle planów, tyle marzeń do zrealizowania. Poza tym, dopiero co skończyłam siedemnaście lat.

Postanowiłam zacząć eksplorację dziwnego pomieszczenia. Szybko jednak to zarzuciłam, bowiem pokój nie miał ścian. Mogłam tak chodzić w nieskończoność. Usiadłam na zimnych, białych płytkach i schowałam twarz w dłoniach.

W tym momencie dosłownie uderzyło we mnie wspomnienie. Tak mocno, że na chwilę zabrakło mi tchu.

Ja z tatą w naszym małym ogródku. Mogłam mieć wtedy pięć lat, tata około trzydziestu. Huśtał mnie na naszej czerwonej biedronce. Tak nazywałam małą huśtawkę. Niby nic takiego, jednak poczułam łzy płynące po policzkach.

Tata zmarł dziesięć lat temu w "tajemniczych okolicznościach". Policja znalazła jego ciało zaczepione o filar mostu w najdłuższej rzece w naszym mieście. Łatwo możecie się domyślić, że nigdy więcej się tam nie pojawiłam. Nawet po latach, kiedy przejeżdżałam tamtędy autem lub autobusem, zaczynałam się dusić i pocić. Mama zawsze uważała to za dramatyzowanie, jednak ona sama również mocno przeżyła śmierć taty. Z początku nie zdawałam sobie sprawy, że już nigdy nie zobaczę ojca. Dopiero po pewnym czasie zaczęło mi go naprawdę brakować i paradoksalnie z każdym rokiem stawało się to coraz gorsze.

Do dziś nikt nie rozwiązał zagadki tej śmierci. Nie znaleźli przy nim niczego niezwykłego, nie zostawił pożegnalnego listu. Zresztą, nie mógł popełnić samobójstwa. Był szczęśliwym człowiekiem. No i nie zrobiłby tego mnie i mamie. Śledczy uznali jednak samobójczą śmierć ojca za jedyne rozsądne wyjaśnienie. I tak zamknęli sprawę, która dla nas ciągle pozostaje otwarta.

A teraz znów powracałam do chwil spędzanych z tatą. Zafascynowana patrzyłam na jego roześmianą twarz. Skończyłam się huśtać i nieporadnie zeskoczyłam z huśtawki, prosto na kolana. Zrobiłam smutną minę, co dawało jasny sygnał, że zaraz zacznę płakać. Tata szybko wziął mnie na ręce i zaprowadził do domu. Postawił mnie na chwilę na ziemi i poszukał w szafce w kuchni wody utlenionej. Ostrożnie odkaził kolana, po czym włączył telewizor na jakimś kanale z bajkami. W tym momencie zadzwonił telefon.

Gdybym była małą dziewczynką pewnie bardziej interesowałyby mnie przygody podróżniczki Dory, jednak teraz jestem siedemnastolatką, więc wytężyłam słuch, przeklinając głośną bajkę, i podsłuchałam prowadzoną przez ojca rozmowę.

Tata wydawał się zdenerwowany.

– Jest teraz w pracy. Jak wróci dam znać, że dzwoniłeś – mruknął.

– Nie, nie zrobiłem jeszcze przelewu, nie mam teraz do tego głowy. A jak myślisz? Jak tylko wyjdę na prostą, dostaniesz pieniądze.

Wydawało mi się, że się rozłączył. Miałam złe przecucia. Problemy finansowe? O tym nic nie wiedziałam. No tak, w końcu pięciolatkę niezbyt to interesowało. Westchnęłam i nagle znów zabrakło mi tchu. Telewizor ze skaczącą małpką na ekranie ustąpił miejsca białemu pokojowi.

Zirytowana wstałam i zaczęłam przechadzać się po pomieszczeniu. Dlaczego pojawiło się to wspomnienie? Jakim cudem było takie wyraźne? No i co ja tu tak naprawdę robię? Mnóstwo myśli przychodziło mi do głowy, jednak najbardziej ta – o śmierci. Może umarłam i teraz będę przypominać sobie najbardziej odległe momenty mojego życia? Tylko po co? Czy po śmierci nie powinno się zaznać spokoju?

Nie wiedziałam ile minęło czasu, ale wydawało mi się że najwyżej kilka godzin. Nudziłam się okropnie. Próbowałam jeszcze kilka razy przywołać jakieś wspomnienia, jednak najwyraźniej nie było mi to dane.

Dopiero, gdy już chciałam poddać się i zgodzić z faktem, że tak najwidoczniej wygląda wieczność, zaczęłam słyszeć przytłumione rozmowy, a biały pokój zaczął się rozmywać. Zszokowana podniosłam się i nasłuchiwałam.

Szloch mamy. Uspokajające słowa nieznaney mi kobiety. Moje ubranie dziwnie drgało, co chwilę zmieniając barwę z zielonej na białą. Spanikowana zaczęłam się cofać, jak gdyby to mogło w czymkolwiek pomóc. Ręce zaczęły mi się nerwowo pocić, pokój coraz bardziej się rozmywał. Wydawało mi się, że przez chwilę widzę słabą jarzeniówkę. Nagle jednak znów zabrakło mi tchu i uderzyło we mnie kolejne wspomnienie.

Tym razem byłam starsza, wyglądałam na sześć lat. Stałam przed lustrem w idiotycznym przebraniu wiewiórki. Na głowie sterczały mi małe, rude uszy, a brązowy kombinezon z ogonem z tyłu mnie pogrubiał. Jednak moja mina w lustrze mówiła wszystko: byłam zachwycona.

Do lustra podeszła mama. Przez te lata bardzo się zmieniła. Wtedy miała jeszcze niezwykle długie, gęste, blond włosy. Uśmiechała się do mnie błyszczącymi oczami.

– Świetnie wyglądasz. Jesteś gotowa? – położyła mi rękę na ramieniu.

Gwałtownie skinęłam głową i zaczęłam śpiewać piosenkę o wiewiórcie, gdy szłyśmy w stronę auta. Gdy usiadłam w niebieskim foteliku, a mama zapięła mi pasy, odezwałam się wysokim, piskliwym głosikiem.

– A gdzie tata? Nie jedzie z nami?

Mama pokręciła głową.

– Niestety nie, kochanie, miał jakieś ważne spotkanie w pracy.

Czułam prawdziwy smutek sześciolatniej mnie, i w sumie rozumiałam ją. Pragnęłam jeszcze raz zobaczyć tatę – nawet we wspomnieniach.

Po jakiś 15 minutach wreszcie dojechaliśmy do celu: bawialni Lulu. Ach tak, sześciolatnia ja miała tu kiedyś swoją imprezę urodzinową, najwidoczniej mały bal przebierańców. Czułam podekscytowanie. Nie mogłam się doczekać, żeby zobaczyć młodszą wersję mojej przyjaciółki, a także jej byłego chłopaka, Nigela.

Mama otworzyła mi drzwi i wypięła pasy. Ruszyliśmy w stronę drzwi wejściowych. Nagle jednak zatrzymała się na chwilę i zaskoczona pomachała do kogoś stojącego po prawej stronie. Na szczęście zainteresowało to również tamtą mnie i odwróciłam głowę. Wujek Robert i tata szli w naszym kierunku. Nie mieli jednak zbyt zadowolonych min.

Nastąpiła seria powitań, krótkich wyjaśnień. Tata i wujek wcześniej skończyli spotkanie i postanowili razem przyjechać. Uważnie przysłuchiwałam się ich rozmowie.

– Udało wam się wszystko załatwić? – zapytała niepewnie mama.

– Niestety, nie – ściszył głos tata – straty mogą wynosić już ponad dwadzieścia tysięcy.

Mama gwałtownie wciągnęła powietrze. Wtedy chyba tego nie rozumiałam, teraz jednak aż zbyt dobrze.

– To niemożliwe. Jakim cudem firma, aż tak się zadłużyła?

Wujek spojrzał na tatę gniewnie.

– Wszyscy dobrze wiemy. To tylko i wyłącznie wina twojego męża – warknął.

Nie podobało mi się to, że oskarżał tatę. Znów miałam bardzo, bardzo złe przeczucia.

– Przestań – mruknęła cicho mama.

Tata westchnął, ale gdy tylko na mnie spojrzał, od razu powrócił mu uśmiech na twarzy.

– Idziemy do środka, kochanie? Musimy jeszcze przygotować balony i konfetti – powiedział ze sztucznym entuzjazmem.

Pokiwałam radośnie głową, zadowolona, że mogę urwać się z nudnej rozmowy dorosłych. Jednak siedemnastolatnia ja wcale tego nie chciała. Musiałam dowiedzieć się więcej

o problemach finansowych. Mama wspominała mi tylko parę razy, że kiedyś tata i wujek prowadzili dość dobrze prosperującą firmę, chyba jakieś biuro podróży. Najwidoczniej jednak prosperowało dobrze przez tylko krótką chwilę.

Wspomnienie się rozmyło, a ja znów leżałam na podłodze w białym pomieszczeniu. Głosy zniknęły bezpowrotnie. Nie wiedziałam, czy tego żałuję, czy odpowiadają mi nawracające wspomnienia. Odkrywałam właśnie coś, co trzymano przede mną w tajemnicy przez tyle lat... Czułam się jednak okropnie. W głębi duszy wiedziałam, że to nie będzie nic dobrego.

Przez kolejną wieczność zastanawiałam się, co mam sobie uzmysłwić. W końcu mnie olśniło: miałam dowiedzieć się, jak umarł tata. A dokładniej, kto tego dokonał. Czekałam więc zniecierpliwiona, a jednocześnie przerażona, na kolejne wspomnienie. Ono jednak nie nadchodziło. Z każdą kolejną sekundą, minutą, albo godziną stawałam się coraz bardziej zdenerwowana. Aż nareszcie, doczekałam się.

Tym razem nie zabrakło mi tchu, ani się nie przewróciłam. Może dlatego, że już leżałam, albo dlatego, że byłam już przygotowana. Zamrugałam kilka razy i uzmysłowiłam sobie, że znajduję się na imprezie rodzinnej. Dookoła niedużego ogniska siedzieli wszyscy moi krewni. Napawałam się widokiem ich młodszych wersji. Moi kuzyni, teraz wysocy i przystojni, wcześniej niscy i grubiutcy. Babcia wciąż jeszcze pełna werwy kręciła się dookoła i każdemu podawała kielbaski lub chleb. Ja siedziałam trochę z boku, na huśtawce-biedronce. Na całe szczęście, mogłam usłyszeć o czym rozmawia wujek, stojący jakieś dwa metry dalej, oparty o ścianę domu.

– Sprzedałem już auto, a żona chce się wyprowadzić i złożyć pozew o rozwód. Mam tego dość, rozumiesz? Zjada mnie to od środka. A on nie chce zamknąć firmy, mówi, że to tylko chwilowe trudności. Chwilowe trudności, wyobrażasz sobie? To trwa już półtora roku!

Przestałam się huśtać i zaczęłam obracać się tak, by huśtawka zawiązała się u góry, a potem podniosłam nogi do góry i zaczynałam się szybko kręcić.

– Nie wiem... Tak, obiecuję. Kocham cię. Pa – rozłączył się szybko, a ja zaczęłam szybko się zastanawiać, z kim rozmawiał.

To jednak przestało być ważne, bo wspomnienie natychmiast się rozmyło. Odetchnęłam i podniosłam się do pozycji siedzącej, wtedy ze zdziwieniem poczułam, że nadchodzi kolejne wspomnienie. Było przygniatające. Poprzednie były raczej lekkie, przesiąknięte niepewnością, to jednak sprawiło, że zaczęłam się lekko trząść.

Znajdowałam się w aucie. Spałam w foteliku na tylnym siedzeniu. Dlaczego więc wszystko mogłam zobaczyć? Zauważyłam, że tym razem jestem postronnym obserwatorem. Chwila... nie siedziałam w aucie, lecz stałam na zewnątrz. W deszczu, późnym wieczorem, na moście, przy którym znaleziono ciało taty. Dramatycznie brakowało mi powietrza i zaczęłam się pocić. Zagryzłam zęby. Oto chwila prawdy. Zauważyłam dwie sylwetki. Wiedziałam jednak, kto to. Tata i wujek Robert. Wypełniła mnie nienawiść i przerażenie. Podbiegłam, o ile mogłam to zrobić, będąc w dziwnej, lekkiej postaci. Dopadłam ich w chwili, gdy wujek przygwoździł tatę do barierki mostu.

Nie potrafiłam skupić się na ich kłótni. Wpatrywałam się tylko zdrętwiała w coraz bardziej wychylającego się tatę. W końcu wujek popchnął go lekko. Bardzo lekko, ale to wystarczyło, by ten zachwiał się i powoli wypadł za barierę. W filmach upadki z wysokości zazwyczaj trwają bardzo krótko, jednak mnie wydawało się, że tata spada w ciemną otchłań w zwolnionym tempie. Dopadłam do barierki i złapałam ją kurczowo. Chciałam wrzasnąć, jednak struny głosowe odmówiły mi posłuszeństwa. Poczułam gorące łzy spływające mi po twarzy.

Ruch za moimi plecami otrzeźwił mnie. Wujek wracał roztrzęsiony do samochodu. Wyglądał, jakby znajdował się w jakimś dziwnym transie. Nagle zatrzymał się i kucnął na mokrym chodniku, aby skryć twarz w dłoniach. Chciałam mu współczuć, jednak czułam tylko nienawiść.

Po chwili wujek wstał i nagle zorientował się, że auto taty jest włączone. Podeszedł zdezorientowany do niego i zauważył smacznie śpiącą mnie. Nie doczekałam się jego załamania, bo wspomnienie gwałtownie się rozmyło.

Teraz jednak nie czekał na mnie biały pokój. Niepewnie rozglądałam się dookoła. Leżałam na szpitalnym łóżku, do mojego ciała podpięte było kilka kabli, a po prawej stronie na chybottliwym krześle siedziała mama. Gdy nasze spojrzenia się spotkały, natychmiast poderwała się i zaczęła wołać pielęgniarkę. Przyglądałam się temu ze stoickim spokojem. Sprawa wypadku zdawała się najmniejszym problemem. Nie wiedziałam jakim cudem mogłam przywołać do siebie te wspomnienia, ale to musiało mieć cel. Czułam bliskość taty, a akurat w tym wypadku byłam pewna, co to oznacza. Muszę poważnie porozmawiać z wujkiem Robertem.

Ciekawy pomysł fabularny (utrata przytomności jako droga do odkrycia prawdy o śmierci ojca), którego nie powstydziliby się najpoczytniejsi autorzy literatury sensacyjnej. Opowiadanie trzyma w napięciu, zakończenie pozostawia przestrzeń dla wyobrażeń czytelnika. Klarowny, rzeczowy styl, który nie odciąga uwagi odbiorcy od rozwoju toczących się dynamicznie wypadków.



Wyróżnienie ex aequo

w grupie wiekowej 13–15 lat

Michalina Baros

z Lęborka, 15 lat



EKARZ DUSZ

01.04.1941r. Higashi, Okinawa

Wiosna. Piękny, słoneczny dzień. Kwiaty sakury najpierw lekko unoszone przez wiatr, opadały zmysłowo na ziemię, ciesząc wzrok miejscowych Japończyków. Chie wędrowała pomiędzy drzewami i zbierała najpiękniejsze płatki. Dzisiaj przypadał dzień rozwiązania Fuyuki, córki jej przyjaciółki z dzieciństwa. Nie utrzymywała z nią bliższych kontaktów ze względu na małżeństwo, jednak pamiętała doskonale jej odwagę i prawość, dlatego postanowiła, że odbierze ten poród najlepiej jak będzie umiała. Natomiast widok płatków wiśni, a także zapach tych kwiatów był dla niej bardzo uspokajający.

Matka Chie, miejscowa akuszerka, niedawno zmarła, jednak przed śmiercią przekazała jej wszystko, co kobieta powinna wiedzieć o porodzie. Jako że najbliższy lekarz mieszkał wiele kilometrów stąd, teraz na jej barkach spoczywał ten zaszczytny, ale i niekiedy smutny obowiązek. Dzisiaj miał być pierwszy dzień jej „pracy”, więc potrzebowała rozluźnienia. Męża nie było w domu, ponieważ, jak większość mężczyzn, został zrekrutowany do wojska. Zabrała więc swojego siedmioletniego synka ze sobą i tuż przed zachodem słońca siedziała już w domu Fuyuki. Ojca jej dziecka również nie było w domu, niestety, trwała wojna.

Pani domu podała herbatę i wymieniły się uprzejmościami. Następnie wysłały chłopca do osobnego pomieszczenia, a Chie zadała jej istotne pytania na temat przebiegu ciąży. Przygotowały posłanie, ręczniki, ciepłą wodę i inne potrzebne rzeczy. Rozsypały płatki sakury i w ciszy oczekiwały. Pół godziny później Fuyuka dostała pierwszych skurczy, tak jak powiedziała matka Chie. Kobieta zawsze potrafiła przewidzieć co do dnia datę porodu, jednak gdy córka zapytała ją kiedyś, jak ona to robi, ta odrzekła tylko, że musi dojść do tego sama.

Z początku wydawało się, że poród będzie przebiegał bez żadnych problemów, jednak po jakimś czasie było wiadome, że tak nie będzie. Około godziny 21 Fuyuka dostała poważnego krwotoku. Przez chwilę Chie wyczuwała u siebie zbliżającą się wielkimi krokami panikę,

jednak udało jej się nad tym zapanować. Zaczęła tamować krwotok i jednocześnie ponaglała rodzącą. Już myślała, że jest bliska opanowania sytuacji, gdy między nogami rodzącej Fuyuki pojawiły się nóżki. Świeżo upieczona akuszerka przeraziła się – wiedziała, co się z tym wiąże. Poczekwała chwilę, upewniając się, że to stópki.

– Fuyuka, widać nóżki! Ty czy dziecko?! – zapytała, niepewnie, przekrzykując jej pełne bólu jęki i wrzaski.

Ta spojrzała się na Chie ze strachem i wahaniem, jednak zaraz zniknęły one z jej twarzy.

– Dziecko. Tnij!

Więc Chie wzięła się do pracy. Zawołała swojego syna i kazała mu pomóc. Wiedziała, że potem będzie musiała przeproszać bogów za taką zniewagę jak dopuszczenie do obecności mężczyzny przy porodzie, jednak nie miała wyjścia. Chłopiec na jej prośbę przyniósł wszystkie potrzebne narzędzia i akuszerka zaczęła zabieg. Bez znieczulenia, ponieważ nie miała dostępu do takich leków. Była pewna, że swojego pierwszego odebranego porodu nie zapomni do końca życia. Bolał ją w duszy każdy krzyk Fuyuki, każdy jęk bólu, wydobyty podczas tej wielogodzinnej walki, a dźwięk ostrza przecinającego skórę i później macicę zapisał się w pamięci Chie z wielką dokładnością.

Wreszcie się udało. Dziecko zostało wyciągnięte z łona matki. Była to dziewczynka. Wystarczyło jedno spojrzenie, na tę małą istotkę, aby zrozumieć, że w niedalekiej przyszłości wyrośnie na zdrową i piękną kobietę. Gdy niemowlę wzięło pierwszy oddech, akuszerka przystąpiła do oczyszczania go z krwi, a następnie owinęła maleństwo w pled i podała umierającej matce. Wtem usłyszeli strzały.

– Atak na wioskę, atak na wioskę! – krzyczał rybak, biegnąc przez całą wieś.

Na ich twarzach pojawiło się zrozumienie.

– Miyako. To Miyako. Chroń ją tak, jak tylko potrafisz, to moja ostatnia prośba. – powiedziała spokojnie, z wielkim uczuciem Fuyuka, wydając ostatnie tchnienie. Potem umarła, zachowując ten piękny, pełen uwielbienia wyraz twarzy.

Chie poczuła się smutna i zagubiona. Musiała spełnić ostatnią prośbę zmarłej. Przez chwilę nie wiedziała, co robić, ale szybko się opanowała. Od dziecka była kobietą zdecydowaną i zaradną.

– Tamotsu – odezwała się do syna – trwa wojna. Właśnie zaatakowano naszą wyspę, tak jak to przewidział twój dziadek przed wysłaniem na front.

Chłopak spojrzał na nią ze zrozumieniem.

– Ja tu zginę, ale ty, jako mój potomek musisz wypełnić moją powinność. Zabierz Miyako i wypłyńcie w morze. Zdaj się na wolę bogów, oni pokierują łodzią. A teraz weź ją i biegnij!

Tamotsu był inteligentnym dzieckiem. Wiedział, co grozi jemu i dziecku, jeżeli nie wykona rozkazu rodzicielki. Wiedział również, na co decyduje się jego ukochana matka, jednak czuł, że tak powinien zrobić. Ukłonił się jej i z uderzającym spokojem ducha, zadziwiającym jego samego, wziął do rąk malucha i wybiegł z domu. Kierował się prosto do małego portu przy lesie. W mroku nocy nikt go nie zauważył. Gdy dotarł na miejsce, wsiadł do najsolidniej wyglądającej łodzi, położył Miyako na siedzisku, odwiązał sznur i odepchnął się od pomostu. Klasnął dwa razy w dłonie, pochylił głowę i w myślach wymówił krótką modlitwę, prosząc o opatrność bogów. Potem położył się i zasnął.

W tym samym czasie jego matka zaczęła sprzątać w domu Fuyuki. Ścierała krew z jej ciała, wcześniej zaszywszy ranę po cesarskim cięciu. Następnie okryła jej zwłoki białą płachtą. Była spokojna, wiedziała, że jej syn sobie poradzi.

Gdy już skończyła, przemyła dłonie i przygotowała drugą dzisiaj porcję herbaty. Usiadła na podłodze otoczona płatkami kwiatów, obok uda położyła nóż. Walczyli wszyscy. W końcu oprawcy przyjdą też po nią. Jeśli przyjdzie jej zginąć, to zrobi to honorowo.

Tamotsu obudził wstrząs i płacz dziecka. Dobili do jakiejś wyspy. Chłopak wywlekł łódź z wody i przywiązał ją do najbliższego drzewa. Wyciągnął z niej niemowlę i przystąpił do poszukiwania schronienia. Wiedział, że póki co nie mogą wracać do domu.

Po piętnastu minutach wędrówki zauważył wiejskie chaty. Ucieszył się, był bardzo głodny. Szczęście im dopisało, ponieważ pierwsza chata, w której zagościli należała do rybaka, którego żona miesiąc temu urodziła. Gdy Tamotsu opowiedział jej historię ich podróży, Mana, bo tak miała na imię kobieta, zgodziła się karmić piersią również Miyako, póki ta nie będzie mogła jeść papek. Mijały im dni. Po osiemnastu miesiącach księżycowych dziewczynka zaczęła smakować codziennych dań – ryb, ryżu i warzyw. Tamotsu, choć przywiązany do ich nowego domu, wiedział, że czas opuścić to miejsce. Spakował do torby trochę prowiantu, a następnie poszedł do Many, aby się pożegnać i podziękować za matczyną miłość, jaką im okazała. Wziął Miyako za rękę i zaprowadził ją do łodzi.

Lata upływały im na takiej podróży. Na otwartym morzu łowili ryby, a gdy dobijali do brzegów kolejnych wysp, przygotowywali sobie posiłek. Potem szukali noclegów u życzliwych ludzi. Nie wiedzieć czemu, Tamotsu zawsze wiedział, do jakiego domu zapukać, aby być ciepło przyjętym. Czasem pozwalano im zostać na kilka dni, a czasem na miesiąc czy nawet

dwa. Jednak nigdzie nie zagrzali dłużej miejsca. Aż do lutego 1944 roku. Wtedy to wędrowali po Kiusiu i nogi zaniósł ich do miejscowości Usa. Chłopak jeszcze nigdy nie był w tak dużym i głośnym miejscu pełnym ludzi i przeróżnych zwierząt. Gdzie nie spojrzął, wszędzie coś się działo. Małej jednak nie podobał się gwar, więc postanowili iść obrzeżami miasta. I tak trafili do czerwonej chatki bardzo miłego i bardzo starego mężczyzny.

Dziesięcioletek, jak u każdego poprzedniego gospodarza, opowiedział o podróży dwójki małych dzieci, licząc na jeszcze cieplejsze przyjęcie. Jak zwykle nie mylił się, lecz tym razem ich pobyt przebiegał zgoła inaczej. Przez pół roku byli przez staruszkę rozpieszczani. Nie musieli wstawać wraz ze wschodem słońca, nie pozwalał im pracować na małym, prowizorycznym polu przy chatce ani gotować i sprzątać. Dostawali pyszne jedzenie, a wieczorami siadali przy herbacie i słuchali różnych, ciekawych opowieści dziadka. Opowiadał je tak, jakby sam brał w nich udział. Dzieci uważały, że to magiczne. Jednak sielanka się skończyła.

– Nadszedł czas, abyś mi chłopcze zapłacił w czynach za moją pracę dla was – powiedział pewnego dnia starzec.

– Jak, dziadku?

– Pójdiesz z wiadomością do świątyni.

– Tylko tyle? Komu mam tę wiadomość dostarczyć?

– Och, to nie jest „tylko”, synu. Pójdiesz do świątyni boga Hachimana i poczekaś tam do zachodu słońca. Gdy on już nastanie, a ludzi nie będzie, zostaniesz chłopcze przyjęty w gości.

– Dobrze dziadku. A co z Miyako? – Tamotsu spojrzął na trzylatkę.

– Miyako zostanie ze mną, nie martw się – odpowiedział poważnie – musisz pamiętać o jednym, Tamotsu. Gdy zapytają cię ktoś ty, odpowiedz im dokładnie tymi słowami: „Jam od tego, który herbatę zasiał jako pierwszy.” Powtórz, chłopcze.

Młodzian posłusznie wykonał polecenie.

– Dobrze, a więc ruszaj – rozkazał, wręczając mu zwój.

A kiedy już chłopak był poza zasięgiem wzroku i słuchu, odezwała się Miyako.

– Dziadziusiu, a jak ty właściwie masz na imię?

– Jam Daruma, drogie dziecko.

„Czy to nie był przypadkiem mnich z legend opowiadanych przez babcię Haru, u której mieszkaliśmy trzy tygodnie?” – pomyślała dziewczynka. Lecz doszła do wniosku, że nie

wypada dociekać, więc po prostu przytuliła się do nóg staruszka tak samo, jak robiła to setki razy wcześniej.

Tamotsu czekał posłusznie pod świątynią. Zastanawiał się, któż to mógłby odebrać przyniesioną przez niego wiadomość i przyjąć go w gości. Jednak jak nikogo nie było, tak nie było. Czekał kilka godzin. Gdy już miał się poddać, wrócić do chatki i zapytać dziadka, co też on sobie ubzdurał, usłyszał dźwięki krzątania się. I nie byłoby to dziwne, gdyby nie fakt, że w okolicy nie było żadnego domostwa. Podniósł się z ziemi i zaczął się rozglądać. Nie ukrywał, że trochę się bał. Wtem odezwał się gruby i potężny głos.

– Ktoś ty?!

– Jam od tego, który herbatę zasiał jako pierwszy – odpowiedział, już doszczętnie przerażony.

Ale jakby na te słowa atmosfera zmieniła się całkowicie. Momentalnie poczuł spokój, usłyszał śmiechy i wesołe krzyki. Poczuł, że coś złapało go za ręce, a jeszcze inne coś zaczęło pchać go do przodu. Dwa niewidzialne dla jego oczu stworzenia pomogły mu się oczyścić i wprowadziły go do świątyni. Tamotsu wcześniej nie zdawał sobie sprawy z tego, że przestrzeń świątynna niedostępna dla ludzkich oczu jest tak wielka.

Stworki zaprowadziły go do jednego z pomieszczeń i posadziły na dziwnie miękkiej podłodze. No tak. Niewidzialna poduszka. Zachciało mu się śmiać.

– Co cię do mnie sprowadza? – zapytał ten sam głos, jednak zdawało się, że spokojniejszy i łagodniejszy.

– Przysłał mnie dziadek z czerwonej chatki, ten od tej całej herbaty, jak mówiłem. Powiedział, że mam wam, kimkolwiek jesteście, panie, przekazać ten oto zwój.

Tamotsu podniósł go tak, aby był widoczny.

– Daj mi go.

Chłopak wykonał polecenie. Położył zwój metr przed sobą, a ten po chwili, jakby sam uniósł się i zaczął rozwijać. Zdawało się, że ów człowiek, jeżeli był człowiekiem, zainteresował się pismem. „Hum... Och... Rozumiem...” udało się usłyszeć chłopakowi. Potem istota machnęła dłonią ze zwojem, a Tamotsu zemdlął.

Zbudził się w pięknie wyglądającym, bogato zdobionym pomieszczeniu. Dopiero po chwili zorientował się, w jakim jest miejscu. Teraz jednak widział wszystko, od poduszki, na której wczoraj siedział, po pięknie zdobione ramy drzwi i okien. Wcześniej wydawały mu się zwykłe, drewniane, bez żadnych ozdób. Obok swojego posłania zobaczył tacę z ciepłym

śniadaniem. Nie czuł głodu, jednak pokusił się na tak pysznie wyglądające jedzenie. Następnie wyruszył na spacer po świątyni. Musiał przyznać, że w świetle dnia była piękna. Wtem podbiegła do niego dwójka dzieci w wieku około czterech lat. Były ubrane w kolorowe kimona z wiosennymi zdobieniami.

– Och, tutaj jesteś! Chodź! – krzyknęło jedno z nich. Małe dziecko wydawało się mówić jak dorosły.

Zaprowadziły go do ogrodu za świątynią. Siedział tam, otoczony stertami papierów, czarnowłosy mężczyzna w wieku około czterdziestu lat.

– Witaj, Tamotsu. Zanim o coś spytasz, jestem Hachiman, bóg wojny i obrońca narodu japońskiego. Możesz mi mówić Hachi. Od dziś mieszkasz w świątyni i pracujesz jako mój podwładny. Twoje ciało jest ukryte, natomiast ty jesteś teraz formą ducha. Zwykli ludzie nie mogą cię zobaczyć.

I tak się zaczęło. Pomocnicy, którzy, jak się okazało, nazywają się Ai oraz Bee, dawali mu do wykonywania coraz to trudniejsze prace. Od prania, przez sprzątanie po gotowanie. Z drugiej strony okazali się bardzo mili, pomocni oraz szczerzy. Potrafili odpowiedzieć na prawie każde pytanie chłopaka. Aż w końcu Hachiman stwierdził, że awansuje Tamotsu. Od tamtego momentu młodzieniec stał się osobistym pomocnikiem i zastępcą bóstwa. Wypełniał tabliczki i różne dokumenty, a także pomagał Hachi w jego codziennych obowiązkach. Pewnego dnia, na początku miesiąca sierpnia, pan Hachiman zwrócił się do chłopca z pewnym poleceniem.

– Dziś wyjeżdżam w delegację na zebranie bóstw japońskich. Zastąpisz mnie w moim najważniejszym obowiązku.

I wręczył chłopakowi przyrząd do błyskawicznego podróżowania. Była to mała skrzyneczka z jednym guziczkiem „START”. Odczytywała w myślach właściciela lokalizację i tam go zabierała. Ai oraz Bee podali mu ziołowy preparat zwiększający wyczulenie na zło i dusze potrzebujące. Miał wędrować po kraju i spełniać prośby cierpiących i modlących się do Hachimana.

Tamotsu od razu wziął się do pracy. W ciągu kilku dni spełnił prośby tysięcy ludzi. Jego dusza pojawiała się i znikła. Nabrał wprawy. Pracował bez przerwy, nie zatrzymywał się nawet, gdy słońce już zaszło. Nie czuł się zmęczony, ponieważ każda podróż regenerowała jego siły.

Rankiem 6 sierpnia 1945 roku poczuł silny niepokój. Ktoś obcy miał złe zamiary, wyczuwał silną wrogość. Od razu wyruszył do miejsca, gdzie skupiała się ta energia. Zaczął się przechadzać między uliczkami, jednak wszystko było w normie. Ludzie się witali, rozmawiali ze sobą. Nikt nie był niespokojny, jak on. Ale przecież nie mógł się pomylić. Nie, zdecydowanie się nie mylił. To uczucie z każdą chwilą nasilało się.

Punkt 8:15 wszystko się wyjaśniło. Tamotsu zobaczył na niebie samolot. I to w nim koncentrowało się całe zło, jakie od kilkunastu minut próbował zidentyfikować chłopak. Zaczął krzyżeć do ludzi, żeby uciekali, jednak po chwili zorientował się, że go nie słyszą. Jakaś kobieta krzyknęła „Patrzcie, spadochron”, a potem oślepił go blask i ogłuszył huk. Gdy już odzyskał wzrok, zaczął się rozglądać. W kilka sekund z pięknego miasteczka zostały ruiny. Widział leżących na ziemi ludzi, spalone zwłoki, ze szerniałą skórą. Dorosłych z odpadającymi od ciała kawałkami skóry. Kobiety, które wyglądały, jakby ugotowały się żywcem i mężczyźni pozbawionych wszystkich kończyn. Oni wszyscy jeszcze przed chwilą szli ulicą, uśmiechnięci czy smutni, biedni czy bogaci, piękni czy brzydzy. A teraz nie żyli. Ich ciała leżały wszędzie, zmasakrowane do granic ludzkich wyobrażeń. Tamotsu słyszał wołania rannych, krzyki w ich umysłach, wszechogarniające strach i rozpacz, uczucie niemożności panowania nad ciałem. Słyszał jęki zmarłych, których dusze opłakiwały cierpienia żywych, ich bliskich. Kilkaset tysięcy głosów w jego głowie wołających o pomoc. Doznał w sercu bólu tak ogromnego, jakiego jeszcze nigdy nie doświadczył. Ogłuszyło go. Nie wiedział, co robić ze sobą, z życiem innych ludzi i z ludźmi, którzy tego życia już nie mieli. Bał się. W pewnym momencie zauważył lekarzy, którzy z oddaniem, pomimo tak okropnego widoku, byli w stanie działać i pomagać tym, którzy jeszcze tej pomocy potrzebowali. Zauważył cywili, którzy przetrwawszy katastrofę, pomagali im w pracy i szukali żywych. Wiedział, że musi postąpić tak samo. Od każdej osoby, którą spotkał, zabierał namiastkę cierpienia, przyjmując ją na siebie. Widział dusze wydostające się z martwych, zwęglonych ciał, idące ścieżką prowadzącą do ich nowego królestwa. Każdemu żywemu, każdemu martwemu pomagał jak tylko mógł. Zabierał choroby, leczył rany, uwalniał dusze od cierpienia. Chodził tak przez dwa dni i dwie noce. Po tym czasie zaczął obserwować u siebie zmiany. Czuł, że od tyłu przyjętych na siebie chorób, jego ciało się rozpada, pomimo iż było setki kilometrów od niego. Jednak nie przejmował się tym. Ciało nie było mu już potrzebne. Dalej robił swoje, uzdrawiał ludzkie ciała i dusze.

O zachodzie słońca zauważył małą dziewczynkę. Od razu przypomniała mu Miyako. Biegała zapłakana, wyglądała, jakby od dłuższego czasu czegoś szukała. Dotarło do niego czego, czy też kogo. Szukała swojej mamy, która wyszła zakupić warzywa i świeżą rybę do obiadu. Postanowił jej pomóc. Zaczął szukać. Początkowo spokojnie, ale po chwili się przestraszył. Ta dziewczynka nie mogła stracić mamy jak Miyako. Jej rodzicielka musiała żyć. Ale po chwili dotarła do niego prawda. Naprawdę ją straciła. Złapał dziewczynkę za ramię i spróbował jej to uświadomić. Poczł, że rozumiała. Skuliła się, upadła na ziemię i zaczęła trząść się od łkania. Postanowił nad nią czuwać i zabierać od niej tyle cierpienia, ile było w stanie pomieścić jeszcze jego serce.

W pewnej chwili zauważył jedno. Teraz, gdy ciało umarło, a on dalej przyjmował na siebie złą energię, rozpadowi zaczęła ulegać jego dusza. Kawateczek po kawateczku odpadały od niego fragmenty jego „ja”. Znikał.

Spojrzał na dziewczynkę. Dalej leżała skulona i topiła duszę we łzach, jednak nikt nie przyszedł, żeby jej pomóc. Położył się koło niej, ułożył swoją dłoń na jej dłoni i zbierał w siebie całe cierpienie.

Trwał tak do momentu, w którym nie wiedział już kim jest, co tu robi i co się stało. Widział tylko martwych ludzi i jedną, jedyną żywą istotkę. W jego świadomości do samego końca została jedynie wiedza o tym, że ma cierpieć z nią, z tą obcą mu dziewczynką.

Oryginalna, orientalna tematyka wymagająca wrażliwości na odmienne realia kulturowe. Opowiadanie, szczególnie w swej pierwszej części, ujmuje klimatem japońskiej baśni, która w miarę rozwoju fabuły, splata się ze współczesną historią w jej tragicznym, śmiertelnym wymiarze. W podobny sposób przenikają się tu losy ludzi i bogów, a indywidualny los głównego bohatera staje się częścią losów zbiorowości.



Wyróżnienie ex aequo

w grupie wiekowej 13–15 lat

Zuzanna Wojtachnia

z Jantaru, 14 lat

WTOREK, DZIEŃ JAK CO DZIEŃ

Jak każdego dnia dziewczyna wstawała z łóżka i dokonywała porannej toalety.

Jak każdego dnia zakładała maskę tej „szczęśliwej” dziewczyny z klasy 3C liceum ogólnokształcącego. Wychodziła z domu, nie mówiąc nawet „Do widzenia” na pożegnanie.

Chloe była niewysoką dziewczyną. Jej długie włosy powiewały na lekkiej, unoszącej się tego dnia bryzie morskiej. Mieszkała niedaleko klifów nadmorskich, na których potrafiła przesiadywać godzinami, wpatrując się we wzburzone fale. Była dziewczyną o nieziemskiej urodzie. Jej duże niebieskie oczy oczarowały już niejednego adoratora, lecz Chloe nie była zainteresowana zalotami ze strony kolegów z pobliskiego otoczenia.

Szła powoli do szkoły, do której nie przepadała chodzić. Z każdej strony czekała na nią presja wywierana przez otoczenie. Dziewczyna nie radziła sobie zbyt ze stresem czy jakimkolwiek odrzuceniem. Wołała raczej schować głowę w piasek i czekać aż sytuacja ucichnie. Lecz był jeden powód, dla którego nastolatka przychodziła codziennie w to miejsce. Ten powód to, jak to często wspominała, „dzieło sztuki”, które za wszelką cenę musi zdobyć.

Tamtego dnia nie było inaczej. Chloe przyszła do szkoły i skierowała swój wzrok szybko w kierunku drzwi szatni. Kiedy szła w tamtą stronę stanęła na chwilę. Podniosła wzrok, ujrzała ten ideał, dla którego co dzień była dobrze ubrana, lekko umalowana i dzięki któremu serce przyspieszało jej od samego patrzenia. Nie mogła się przemóc, by podejść bliżej. Zawsze ta niewidzialna moc trzymała jej ciało w szponach, które nie pozwalały się ruszyć mimo wszelakich działań i ruchów. Stała tak może z dziesięć minut, wpatrując się w te niebieskie, głębokie oczy, które skrywały w sobie wiele tajemnic i bólu a mimo to były szczęśliwe, piękne, radosne i subtelne. W końcu te dwa spojrzenia skrzyżowały się. Niestety zostało tak tylko na chwilę. Chloe szybko opuściła wzrok i nie czekając ani chwili dłużej pobiegła do szatni.

Zadzwonił dzwonek. Dziewczyna szybko poszła w stronę sali, w której miała zajęcia.

Godzina 16:45

Koniec zajęć. Chloe zawsze w takiej chwili żegna się z owo wspomnianym miejscem.

Z sali poszła zaraz do szatni, nie rozmawiając z nikim. Wsiadła do swojego autobusu i ruszyła w stronę domu. Po jakimś czasie autobus zatrzymał się na przystanku dziewczyny. Chloe pomyślała, że dziś również spędzi dzień nad klifem. Jak pomyślała, tak zrobiła. Zamiast w boczną ścieżkę prowadzącą do domu, ruszyła prosto w stronę jej ulubionego miejsca nad klifem.

Było jeszcze jasno. Dziewczyna usiadła i zaczęła wpatrywać się w fale. Miejsce to było dla Chloe wyjątkowe. Wystający kraniec klifu był na tyle mocny i stabilny, że nastolatka bez problemu mogła na nim spocząć.

Zwróciła swój wzrok na dół, na plażę, która była pusta. Tylko w niektórych miejscach mieszkańcy rozkładali koce i napawali się słońcem, którego przecież tak długo nie było.

Zwróciła uwagę na dziewczynę, która rozbierała się akurat, by wejść do chłodnej wody. Był to jedyny sposób na uniknięcie ukropu. Patrząc tak na kobietę, zaczęła rozmyślać, iż kobiece kształty nigdy nie były jej obojętne. Patrząc na nie zawsze traktowała je jako dzieło sztuki, którego nikt nie jest w stanie odtworzyć.

Chloe od dawna pragnęła, by ta olśniewająca piękność z jej szkoły usiadła obok niej, złapała za rękę i razem z nią podziwiała zachód słońca, który właśnie tam był najlepiej widoczny. Uwielbiała tak rozmyślać. Z daleka od domu, od rzeczywistości. Czasem w chwili, kiedy zamykała oczy odpływała na długie godziny, myśląc o niej. O jej dzisiejszym spojrzeniu, o tym, co teraz robi, jak się czuje. Jednocześnie była zgorzona tym, co robi. Nie wiedziała, dlaczego myśli o dziewczynie tak intensywnie. Wypierała od siebie tę jednoznaczną sytuację. Jak już wspominałam nie radziła sobie w takich sytuacjach. Myślała również o niesprawiedliwościach tego świata. O tym dlaczego świat jest w wiecznym stanie zimnej wojny, w której nie uczestniczą tylko władze, ale i ludzie, którzy mimo dwudziestego pierwszego wieku dalej zmagają się z problemem nacjonalizmu, seksizmu i rasizmu dzisiejszej rzeczywistości.

Zaczynało się ściemniać. Chloe zmuszona była wrócić do domu, gdzie nikt na nią nie czekał, w którym nikt o niej nie myślał. Szła bardzo powoli, by nie dotrzeć do domu zbyt

szybko. Jednocześnie oglądała się za siebie cały czas, spoglądając na zachód słońca. To był koniec kolejnego dnia katongi jej życia – tak myślała. Kiedy tylko wróciła do domu, zastała to samo, co zwykle. Niezdolną do czegokolwiek matkę alkoholicką i ojca, który zaraz na wejściu do salonu, przez który musiała przejść, by dostać się do schodów na górę, zasadził jej solidnego „plaskacza” wykrzykując, że wraca za późno do domu. Dziewczyna niewzruszona rutyną spuściła głowę i szybkim krokiem przemknęła do pokoju.

Godzina 07:20 –29.06.2016

Kolejny dzień zaczynający się monotonnością. Chloe wstała, dokonała tych samych czynności, co każdego ranka i ruszyła na autobus.

Dotarła do szkoły. Tego dnia zamarła.

Dzień niby zaczął się normalnie, aczkolwiek plany na dzisiejszy dzień były lekko zmienione. Zamiast zajęć szkolnych cała klasa 3C i 3D liceum miała pokaz profilaktyczny zaplanowany przez dyrektora szkoły.

Wszyscy zajmowali miejsca na ławkach sali gimnastycznej. Chloe usiadła na szarym końcu. Niespodziewanie obok niej usiadła dziewczyna, o której tak długo wczoraj myślała. Zapytała tylko, czy miejsce obok Chloe jest wolne. Natomiast dziewczyna nie mogła wydusić z siebie ani słowa. Przez cały czas ukradkiem spoglądała na siedzącą obok niej towarzyszkę.

Po jakimś czasie apel skończył się i wszyscy mogli wrócić do domu. Chloe była szczęśliwa, pomyślała o tym, że kiedy wróci tak wcześnie, będzie mogła zostać na klifie tyle, ile będzie chciała.

Godzina 12:30

Od czasu wyjścia ze szkoły Chloe myślała o dzisiejszym zdarzeniu. Rozmyślała o jej zapachu, pięknym profilu. Usiadła i odplynęła. A z jej oczu zaczęły lecieć ciepłe i ciężkie łzy. W tamtej chwili, siedząc nad klifem, myślała czy ktoś w chwilach rozpacz przyjdzie posłuchać z nią tej ciszy serca rozbrzmiewającego pustym tonem w jej ciele.

Monotonnie wpatrując się w horyzont rozmyślała nad ciężką boleścią jej życia. Jedna część jej umysłu już się poddała, druga zaś chciała walczyć o swój byt w tej, jakże szarej, rzeczywistości. Poczęła rozkładać na części pierwsze swoje przemyślenia. Myślała nad pytaniem – Dlaczego tak? Zadając je sobie, zaczynała każdy nowy wątek w jej świadomości.

Ponoć nic co ludzkie nie jest nam obce, a jednak w tamtej chwili wiedziała, że w kraju swym wszystko, co ludzkie jest obce tutejszej, jakże prostej, szarej rzeczywistości. Wszelkiego rodzaju rozmyślenia nad tym, co jest nie tak, nad tym, co z nią jest nie tak, przyprawiły kobietę o ból wewnętrzny.

Nie mogąc już myśleć o tym, jak brat zabija brata ze względu na inność, odmienność, jak człowiek człowieka za dobra materialne potrafi uśmiercić. Nie mogąc myśleć jak człowiek człowiekowi nierówny, przez choćby tak błahą rzecz jak stan majątkowy, poczęła zsuwać się ze skały.

Poczuła wiatr przeszywający jej ciało jak igły, była taka lekka. Niczym pióro unoszące się w powietrzu przy delikatnym podmuchu wiatru. Poczuła jak morską bryza opina jej wolne od przemyśleń ciało i umysł. Lecąc patrzyła, jak szybko jej oczy nie sięgają już wzrokiem miejsca, na którym siedziała. Była wolna. Coraz to bliżej swojego wymarzonego azylu. Wiedziała, że mimo bólu odejścia wiąże się z tym jedyne wyjście przerwania jej żalu. Zaczęła myśleć, kiedy ktoś dostrzeże jej ciało czerwoną płachtą na ziemi okryte i wezwie władze, których tak nienawidzi, by życia ostatki uratować przyszli. A gdyby przyszli roześmiałyby się im w twarz, lecz oczy powoli się zamknęły, dech stanął w jej piersi. Nie czuła już nic. Umarła. Zmartwień w jej głowie ubyło, a sama przestała czuć bicie serca rozbrzmiewającego pustym tonem w jej ciele.

Introwertyczna narracja o codzienności, w której pozornie wszystko jest zwykłe, choć tak naprawdę zwykłe nie jest. Źródłem oryginalności jest tu osobowość i osobność narratorki, prywatność jej intymnych przeżyć, wśród których znajduje się też miejsce na troskę o współczesny świat. Narastający ciężar myśli i przeżyć popchnie bohaterkę ku dosłownie rozumianej przepaści.





I nagroda

w grupie wiekowej 16–19 lat

Natalia Nowaczyk

z Wielenia, 18 lat

PO DRUGIEJ STRONIE LUSTRA

Obudziło ją ciche pukanie. Uniosta głowę z poduszki i nieprzytomnym wzrokiem rozejrzała się po pokoju. Zerknęła w stronę okna, dochodząc do wniosku, że to musiało być rosnące w ogrodzie drzewo. Jednak w momencie, gdy ponownie ułożyła się do snu, znów usłyszała pukanie, tylko tym razem głośniejsze. Dochodziło z przeciwległego końca pokoju, gdzie stało lustro. Melanie wstrzymała oddech i szybko odwróciła twarz w drugą stronę, szczypiąc się w rękę. *To tylko sen, to tylko sen.* Jednak gdy tylko pukanie się powtórzyło, wydała z siebie ciche piśnienie, po czym naciągnęła kołdrę na głowę.

Mama miała rację. Absolutnie niepotrzebnie oglądała te wszystkie horrory po nocach. Teraz ma zwidy. Starła się nie ruszać i oddychać najciszej jak mogła, ale miała wrażenie, że startujący samolot byłby cichszy od jej bijącego serca. Gdy pukanie się nie powtórzyło, zaczęła robić się senna.

Gdy obudziła się następnego ranka, uwierzyła, że tylko jej się zdawało. I wierzyła w to aż do następnego wieczora. Gdy kładła się spać, ponownie usłyszała pukanie. Rzuciła okiem w kierunku lustra, po czym niemal spadła z łóżka. W lustrze, zamiast odbicia pokoju, zauważyła dziewczynkę. Choć była przerażona, podniosła się i podeszła do lustra. Z bliska dziewczynka mogła mieć może jedenaście lub dwanaście lat, co czyniłoby ją rówieśniczką Melanie.

– ...Cześć...? – wyszeptała niepewnie. Złotowłosa dziewczynka z lustra uśmiechnęła się do niej niepewnie i skinęła głową. Za jej plecami była tylko ciemność. Melanie poruszyła się nerwowo – Czemu... jesteś w moim lustrze?

Dziewczynka wzruszyła lekko ramionami. Wyglądała przy tym na zakłopotaną. Jakby sama nie wiedziała, czemu tam się znalazła.

– To ty wczoraj pukałaś? – zapytała Melanie, a blondynka pokiwała głową.

– Masz jakoś na imię? – właścicielka pokoju usiadła naprzeciwko srebrnej tafli. Dziewczynka ożywiła się i pokiwała energicznie głową, zaraz potem obróciła się i wbiegła w mrok. Melanie wygięła się, chcąc dostrzec, gdzie zniknęła jej tajemnicza towarzysza, jednak nie zobaczyła nic oprócz nieprzeniknionej czerni. Zaraz potem złotowłosa wróciła, niosąc ze sobą kartkę i ołówek.

Usiadła po drugiej stronie lustra i szybko napisała swoje imię na kartce.

– Katherine? – przeczytała Melanie na głos, a złotowłosa pokiwała głową, uśmiechając się szeroko. Melanie odwzajemniła jej uśmiech, czując się odrobinę pewniej – Mogę ci mówić Katie? – padła kolejna pozytywna odpowiedź.

Przez chwilę żadna się nie odzywała, tylko uważnie się nawzajem obserwowały. Potem Melanie przekrzywiła lekko głowę i spytała:

– To co właściwie robisz w moim lustrze?

"Właściwie to w nim mieszkam." napisała Katherine "Z mojej strony to pokój... A Ty skąd właściwie wzięłaś to lustro?"

– Mama mi je kupiła w sklepie ze starociami. Ups, przepraszam, to "sklep z antykami", tak mówi mama – zaśmiała się cicho, jednak zaraz potem posmutniała – Właściwie... W sumie mieszkamy tu od niedawna. Mama rozwiodła się z tatą i przeprowadziłyśmy się tutaj jakieś dwa tygodnie temu. Mama pracuje teraz w kwaciarni w mieście, a ja za dwa tygodnie idę pierwszy raz do nowej szkoły.

"To chyba dobrze, prawda? Poznasz nowych kolegów, może ta szkoła będzie fajna?"

Melanie skrzywiła się lekko, kręcąc przy tym głową.

– No nie wiem, szkoła nigdy nie jest fajna... Ale brakuje mi tu trochę towarzystwa. Może mogłybyśmy czasem ze sobą porozmawiać?

Katie pokiwała głową z szerokim uśmiechem. "Bardzo chętnie, ale mam do ciebie prośbę. Nie mów swojej mamie, że rozmawiamy, dobrze? Ona i tak nie mogłaby mnie zobaczyć. Dorośli nie widzą wszystkiego."

Melanie pokiwała powoli głową z poważnym wyrazem twarzy.

– Dobrze, obiecuję – po chwili zastanowienia zapytała – A masz tam jakąś rodzinę?

"Nie, jestem tutaj sama. Tak długo była sama... Dlatego tak się cieszę, że będę mogła z tobą rozmawiać." Katie uśmiechnęła się lekko, a dziewczyna po drugiej stronie lustra odzwierciedliła tę minę.

– Więc, czym ty się właściwie tam zajmujesz, jak ci się nudzi? Możesz wyjść z tego pokoju? Co jest na zewnątrz?

"Nie mogę wychodzić z pokoju, nie ma tu nawet drzwi. Więc w sumie jest tu bardzo nudno. Czasami trochę porysuję albo popiszę, ale głównie się nudzę."

– Przekichane. Wiesz, z zewnątrz wygląda to po prostu jak duże, stare lustro.

"Naprawdę?" napisała Katie, na co Melanie pokiwała głową.

– Tak. A w sumie, wiesz kto cię tam umieścił? Możesz stamtąd jakoś wyjść? Czy mogę Ci jakoś pomóc?

Po chwili zastanowienia Katie potrząsnęła głową. "Nie wiem, kto i jak to zrobił. Wiem tylko, że zostawił mi jeden sposób na wyjście."

– Możesz wyjść? To wspaniale! Jaki to sposób?

"Cóż, na początek musisz znaleźć trzy świece." Jak tylko Melanie to przeczytała, skoczyła na równe nogi i wyleciała z pokoju w poszukiwaniu świeczek. Pamiętała, że jej mama zawsze miała kilka małych świeczek w jednej z szafek, ale teraz po przeprowadzce mogły być wszędzie. Na szczęście znalazła je bardzo szybko i zaraz wróciła do pokoju, zamykając za sobą drzwi.

– Ok, mam je! Co teraz?

"Teraz musimy przyłożyć ręce do siebie i powiedzieć magiczne zaklęcie, żeby mnie uwolnić. Brzmi bardzo dziwnie, więc czytaj uważnie. Speculo, Speculo, Tolle intra me."

– Speculo, speculo, tolle intra me?

"Dokładnie. Teraz połóż swoje ręce na moich." Katherine przyłożyła dłonie do lustra, a Melanie bez wahania spełniła prośbę i powiedziała zaklęcie. Jednak w chwili gdy to zrobiła, jej świat zasnuł się czernią. Gdy ponownie otworzyła oczy, patrzyła na siebie. Gdzie się podziała Katie?

Rozejrzała się po pokoju, ale wyglądał dokładnie tak samo.

– Tak bardzo mi przykro, Mel – usłyszała swój głos. Odwróciła się szybko w stronę lustra zobaczyła, jak jej odbicie, *ona*, wstaje. Przecież...!

Wyciągnęła ręce, by złapać siebie, ją, ale natrafiła tylko na chłodne, płaskie szkło. Jak powierzchnia lustra. Świadomość tego, co się działo powoli zaczęła do niej docierać. Katie... Musiała być teraz w niej, być nią! A to by znaczyło, że ona sama jest teraz zamknięta w lustrze! Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, jakoś przekonać dziewczynkę, by ją wypuściła, ale z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk. Łzy pociekły po jej policzkach, gdy

złapała się za szyję, zaraz potem jednak zauważyła, że dziewczynka po drugiej stronie lustra złapała koc z jej łóżka i podchodziła z nim do lustra. Podniosła się szybko na nogi i zaczęła uderzać otwartymi dłońmi o tafelę szkła, dopóki Katherine, *teraz Melanie*, jej nie zastoniła. Zaczęła szybciej oddychać i chciała krzyknąć, ale w dalszym ciągu nie mogła mówić. Rozejrzała się i oglądała swój pokój, szukając jakiegoś wyjścia, ale drzwi znikły. Za to na biurku leżała kartka. Melanie podbiegła do niej szybko i otworzyła ją.

Droga Melanie!

Bardzo mi przykro. Naprawdę, nie masz pojęcia. Jednak spędziłam tu za dużo czasu, nie jestem pewna ile dokładnie, ale bardzo długo. Mogłoby się zdawać, że wieczność. Wiem, że to nie usprawiedliwia tego, co zrobiłam. I chyba nic nie usprawiedliwi. Ale niedługo zrozumiesz.

W którejs z szuflad znajdziesz wszystkie poprzednie listy, a jest ich całkiem sporo. Najwyraźniej ludzie źle radzą sobie z przebywaniem w zamknięciu i w ciemnościach.

W lustrze początkowo zamknięty był demon, za którego wyszła Beatrice, gdzieś około 1119 roku.

Znajdziesz ten list na samym dole.

Niestety, to lustro jest tak skonstruowane, że wyjść stąd można tylko, zamieniając się z kimś ciałami. Zapewne spędzisz tu dużo czasu, odizolowana od świata przez barierę w postaci szkła, ale nigdy nie będziesz głodna ani śpiąca. Spędzisz tu czas, który będzie się zdawać wiecznością, choć to będzie może z 10 lat.

Chciałabym Ci pomóc i Cię stąd uwolnić. Ale lustro nie da się zniszczyć. Więc dobrze Ci radzę, łap okazje i wydostań się stąd najprędzej jak możesz.

Mam nadzieję, że mnie zrozumiesz.

Powodzenia,

Katherine Brad

Melanie nie mogła oddychać. Cały jej świat nagle legł w gruzach. Ona nigdy by nikomu tego nie zrobiła. Wolałaby tu zostać na wieczność, niż kogoś na to skazać. Usiadła na podłodze i zaczęła płakać za straconym życiem.

Kilka lat później

Melanie nagle usłyszała głosy. Otworzyła oczy i uniosła się z łóżka, niespiesznym krokiem podchodząc do lustra. Krańcami palców dotknęła chłodnej tafli, uważnie przyglądając się dziewczynce po drugiej stronie.

– Ustawmy to w rogu pokoju, mamó! – zawołała, uśmiechając się szeroko.

Później czekała. Czekwała do północy, gdy bariera będzie najcieńsza. A gdy uniosła rękę, by zapukać, po jej policzkach płynęły łzy.

Morał tej bajki jest krótki i niektórym znany.

Gdy słyszycie coś lustra, uciekajcie do mamy.

Intrygujący pomysł na fabułę z dreszczykiem, nie tylko dla miłośników „Alicji w Krainie Czarów”. Napięcie narasta w trakcie lektury, co więcej, nie opada po jej zakończeniu, bo lęk przed zerknięciem w lustro towarzyszy czytelnikowi jeszcze przez kilka dni. Zwięzła, treściwa narracja i umiejętnie budowana atmosfera grozy przesądzają o ostatecznym sukcesie tego utworu. Nie czytać o zmierzchu!



II nagroda

w grupie wiekowej 16–19 lat

Weronika Jońska

z Cisewa, 18 lat

P AŻ SNÓW

Arbores loqui latine. Drzewa mówią po łacinie. Wybrały dla siebie martwy język, nic, co robią nie jest przypadkowe. Dokonują w ten sposób doboru naturalnego, bo tylko wybrani usłyszą ich pieśń.

Tej nocy Nila śniła o drzewach. Otworzyła oczy w potężnym lesie, gdzie wiązy i olchy wyrastały z wilgotnej gleby. Kilka ziarenek znalazło się pod jej paznokciami. To wszystko przypominało jej nimfy, tańczące z podmuchami wiatru, pnące się w stronę Słońca. Pod stopami czuła ciepło Ziemi, jej tętno pulsujące w każdym korzeniu, w niej samej. Jej wiek. Zawsze budziła się we śnie, nadal w nim tkwiąc, zawsze pośród zagubionych kruczych piór, niczym opadłe liście. Nila dorastała pomiędzy tymi drzewami. W jej żyłach płynęło wino, jej krew była miodem. Jej kości były z marmuru, a włosy ze srebra. Była, sama w sobie, ofiarą dla bogów. Wszystko to splatało się z leśnymi korzeniami. Drzewa oddychały w niej, napełniały jej płuca tęskną słodyczą. Szeptaly jej imię *Nila, dulcis Nila*.

Była sama z rzeczami, o których śniły drzewa. Czy jeśli śniły one w jej śnie, to czy w takim razie nie były jej snami? *Nila, fortis Nila*. Balansowała na krawędzi ostrza, pomiędzy jedną rzeczywistością a drugą. Śniąc w ten sposób była niczym królowa, mogła rządzić każdą ulotną drobinką swojego królestwa. Mogła je spalić.

Kiedy Nila była mała, zobaczyła ducha. Nie obudził w niej złych emocji, właściwie nie wiedziała, co powinna czuć, widząc delikatną postać unoszącą się za szklaną taflą. Świat po drugiej stronie lustra, świat ducha, był inny. Jakby pozbawiony konturów i wyraźnych kontrastów, poważnych słów i ciężkich oddechów. Porządkując myśli, nie potrafiła opisać go znanymi jej słowami, był marą senną, rządził się własnymi prawami. Już wtedy postanowiła go zbadać, zapuścić się w kolczaste krzewy wyobraźni i poznać granice świadomości.

Z późnego dzieciństwa Nila pamiętała swoją babcię. Od znęcania się nad parkowymi wiewiórkami wołała odkrywanie koron drzew, zadrapane łokcie i policzki czerwone od biegu wzdłuż zabrudzonego jeziora. Od zabaw z rówieśnikami ciekawsze były popołudniowe

herbatki u babci. Staruszka nosiła dumne imię Opal, ze względu na zamiłowanie jej matki do minerałów i kamieni szlachetnych. Nilię, odtwarzającą w myślach „jaskinię” ukochanej Opal, przygniatała kakofonia zapachów, dźwięków, barw i kształtów. Do tej pory kupuje jaśminowe kadzidła w ezoterycznym sklepiku na rogu, bo przypominają jej o babcinych pomarszczonych dłoniach i ciepłym sercu. Kiedy o zmroku powietrze wypełniało się wonią jaśminu, a w ceglany kominku tańczył ogień, babcia rozkładała dla niej tarota. Po latach praktyki nie potrzebowała książeczki, spoczywającej teraz w dłoniach Nili, aby interpretować znaczenie kart.

Światło wpadające do pomieszczenia barwiło stare meble i ściany na kolor palonej ochry, nadając im nową tożsamość. Nad wiekowym gramofonem z oderwaną korbką, w czarnej wyszczerbionej ramie wisiała kopia obrazu Artemisji Gentileschi. Nila czytała z płótna jak z kart książki. Mimika twarzy młodej Zuzanny niczym nie przypominała archaicznego uśmiechu, przyklejonego do twarzy jak plaster na zbite kolano. Mała Nila wiedziała. Codziennie czuła się przytłoczona, jak gdyby ktoś naruszał jej prywatność, odbierał prawo do swobodnego oddychania. Dlatego absorbowała ją scena z zamkniętą w pułapce Zuzanną, zajmowała jej myśli po wyjściu z babcinej chatki, w drodze do domu przedzierała się przez umysł i penetrowała jego zakamarki.

Jej kartą był Paź Kielichów. Nila wybrała go, gdy szperając w starych fotografiach Opal, trafiła na satynowy woreczek z talią tarota. Wypadł i tym razem. Babcia, jak mantrę, powtarzała wnuczce, że kryje ona w sobie niebywały potencjał. Ale słowa pozostawały słowami. „Myślę, że marzysz w kolorach, które nawet nie mają nazwy. Gdy śnisz, mówisz w martwych językach. Drogie dziecko, jesteś czymś, z czym nie każdy będzie umiał się obchodzić.”

Pozostawały do dnia, kiedy przed świtem w domu Nili rozbrzmiał dźwięk telefonu. Żadne miejsce nie wydawało się przyjazne po śmierci Opal. Pozostawiona sama sobie, z woreczkiem podniszczonego tarota i letnich wspomnień, Nila szukała znajomego ciepła w gęstym lesie. Paź Kielichów, schowany w przedniej kieszonce podartych spodni, dotrzymywał jej w dzień towarzystwa. W nocy szeptały do niej drzewa.

Arbores loqui latine. Drzewa mówią po łacinie. Wybrały dla siebie martwy język, nic, co robią nie jest przypadkowe. Dokonują w ten sposób doboru naturalnego, bo tylko wybrani usłyszą ich pieśń. Nila, tak, jak jej babcia, słyszała ją; każdą nutę, kwintę, kwartę i pauzę pomiędzy nimi. Krucze zawroscenie pełniło rolę chóru, krążącego uważnie nad koronami olch.

„Leśne głosy, jeśli dobrze się wstuchasz, opowiadają mroczne i zawite historie – tak zawite, jak korzenie i gałęzie są same w sobie” – mawiała jej babcia.

Nila istniała. Była jak miraż, migotliwe wspomnienie, istniała poza teraźniejszością. Słuchała. W jej żyłach odżył zapach jaśminu, zmieszany z wilgotną ziemią i paloną szaflwią. Skierowała swoje kroki wąską ścieżką w stronę opuszczonego budynku obserwatorium. Nie była pewna, czy stał on tam, zanim przyszła na świat, czy też wyśniła go podczas jednej z wielu nocy. Wspięła się na niewielkie wzniesienie, czując pod stopami mech, wciąż wilgotny od porannej rosy. Suknia w kolorze kości słoniowej otulała jej nogi. Wiatr wiał tu swobodniej, unosząc ledwie zauważalnie jej zbyt krótkie włosy. Nila mogłaby przysiąc, że las znał jej myśli, wiedział, gdzie chowa swój pamiętnik, czytał z jej oddechu. To było jak wrażenie, gdy ktoś trzyma dłoń tuż nad twoją skórą, nie dotykając jej.

Drzwi obserwatorium zaskrzypiały. Do wnętrza wpadały cienkie smugi światła, rozproszone niczym pajęczna sieć. Przy każdej wizycie, las wyglądał inaczej. Zmieniały się tylko drobne elementy: temperatura spadała lub wzrastała o kilka stopni, akacja, która zwykle kłaniała się do stóp Nili, pięła się wysoko ponad korony drzew, czy też kruki gubiły śnieżnobiałe pióra. Pomieszczenie, na pierwszy rzut oka, wydawało się niezmienione: zakurzona podłoga, zmatowiałe szyby porysowane od ptasich dziobów, schowany w cieniu teleskop, skierowany na dziurę w dachu i stare marmurowe astrolabium. Powietrze zdawało się dziś wyjątkowo ciężkie, utrudniało Nili oddychanie, napierając na jej zmęczone płuca. Usiadła na drewnianej podłodze i skrzyżowała nogi w kostkach, dłoniom pozwoliła opaść na kolana. W swoim królestwie czuła się potężna, na Ziemi była wojowniczką. W obserwatorium czuła się mała, niematerialna, jak pyłek porwany przez wiatr i złożony na przypadkowym kamieniu. Tutaj c z u ł a regularny ruch wszechświata; każdy korzeń, uderzenie serca, obieg planet wokół Słońca. Było to wrażenie porównywalne do wewnętrznego ciepła, po wypiciu gorącej herbaty parzonej przez babcie. Nila sięgnęła do satynowego woreczka, który wcześniej owinęła wokół prawego nadgarstka. Przetasowała znajome karty i rozłożyła przed sobą w dwóch rzędach – z każdego wybrała po jednej.

Tym razem to Nila była nowym elementem. Nie zmieniły się drzewa ani kolor kruczej szaty lecz sama królowa. Paź Kielichów pozostał na swoim miejscu, Nila delikatnie pogłaskała zniszczone brzegi karty. Druga z wybranych mrowiła jej palce, jak gdyby płynął pomiędzy nimi prąd. *Loquere ad nos* szeptały ciepłe głosy. Z powierzchni karty, ubrana w błękitną, spływającą ku ziemi suknię, patrzyła na Nilę Papieżycą. W jej oczach była mądrość, jakiej

dziewczyna zawsze pragnęła, był w nich spokój i stanowczość. Chciała się od niej uczyć. Papieżycza miała nakłonić ją do zaufania samej sobie. Nila potrzebowała świątyni, której nikt nie byłby w stanie zburzyć. Świątyni bez schodów, filarów i bezimiennych posągów.

Znów oparła dłonie na kolanach, schowanych pod miękkim materiałem sukni i zamknęła oczy. Pod powiekami mieniły się dla niej całe galaktyki, niezbadane i piękne w swojej okazałości. Tej nocy Nila śniła o drzewach. Otworzyła oczy w potężnym lesie, gdzie wiązy i olchy wyrastały z wilgotnej gleby. Gdy je zamykała, cały świat zdawał się śpiewać na jej cześć. Pojęła, że mądrość lasu pochodziła od niej, to ona wyśniła każdy liść, każdą cząsteczkę powietrza i ptasi chór.

Kiedy Nilę obudził chłodny powiew wiatru, słońce właśnie wschodziło. Podłoga i ściany jej pokoju skąpane były w porannej tunie. Uniosła się na lewym łokciu i przetarła dłonią oczy, sprawdzając, gdzie się znajduje. Zniknęły wysokie wiązy i ruina obserwatorium. Woreczek z kartami tarota leżał na stercie książek, tam, gdzie Nila położyła go poprzedniego wieczora. Uczennica Papieżycy wróciła na Ziemię. Usiadła z zamiarem opuszczenia wygodnego łóżka, ale kątem oka dostrzegła coś, co kazało jej się zatrzymać. Uniosła poduszkę, na której zostały jej pojedyncze ciemne włosy. Sen nie był przypadkowy, nie rozpułnął się o świcie, wszystko, o czym Nila śniła, było częścią niej.

Istnieje w tym morał, ale nie podobny do czegokolwiek, co wcześniej ci mówiono. Pod poduszką, delikatnie naderwane, leżało czarne krucze pióro.

Poetycko–prozatorską opowieść elficko–ezoteryczną. Czytelnik otrzymuje zaproszenie do tajemniczego, ale pociągającego świata, którego wszystkie elementy są doskonale zharmonizowane. Nic nie dzieje się tu przypadkowo, a każdy, starannie przemyślany motyw ma w przedstawionej wizji swoje miejsce. Ta wyobraźniowa konstrukcja, jednocześnie stabilna i lekka, wpisuje się w poetykę – tak poczytnych dziś – utworów z pogranicza baśni i fantasy.



III nagroda

w grupie wiekowej 16–19 lat

Karol Szewczuk

z Lublina, 18 lat

PROCH I RUINY

– **Alek! Chodź na obiad!** – Dźwięczny kobiecy głos rozbrzmiał w całym mieszkaniu odbijając się od białych ścian kamienicy.

Sześćoletni chłopiec bawił się w pokoju rodziców szurając niewielkim, czerwonym samochodzikiem po dywanie i drewnianych, podstarzałych już nieco meblach. Mimo, że stały w tym domu już drugie pokolenie, wciąż dumnie spełniały swoją rolę, mimo wielu śladów i zadrapań.

Alek właśnie tworzył kółkiem auta kolejną rysę na kredensie, gdy do uszu dobiegło go jego własne imię.

– **Już idę mam!** – Zawołał, po czym rozpędził samochód, a maszyna z donośnym turkotem wykonała spektakularny skok z półki kredensu na dywan. Chłopiec sięgnął po niego chcąc wykonać kolejną akrobację, lecz palce ledwie zdążyły musnąć błyszczącą karoserię samochodu.

– **Bo zaraz wystygnie!** – Z kuchni dobiegło kolejne zawołanie. Alek westchnął głęboko, po czym leniwie podniósł się na nogi i zostawiwszy ulubioną zabawkę na blacie dębowego stołu powolnym krokiem ruszył w stronę pomieszczenia, skąd dobywały się smakowite zapachy i donośne dźwięki obwieszające krzątanie się kogoś po kuchni. Chłopiec podążając korytarzem przedpokoju mimowolnie omiatał wzrokiem niedawno pomalowane przez tatę ściany, które odbijały blade światło sączące się spoza szarych firanek. Słońce zakryte było chmurami, przez co można byłoby powiedzieć, że w okolicy zrobiło się smutno i ponuro. Ciepłe barwy roztaczała wokół siebie jedynie kuchnia, w której przesiadywała mama oraz jaskrawoczerwony fiat spoczywający teraz na stole w salonie.

W końcu chłopak przekroczył próg kuchni, a do jego nosa dotarła woń gotowanej przez mamę zupy. Alek natychmiast skrzywił się i wyciągnął język.

– **Nareszcie jesteś.** – Rzuciła czterdziestoletnia kobieta, wrzucając ostatnie plastry marchewki do wywaru. Jej czarne włosy, poprzecinane już w kilku miejscach srebrnymi

wstęgami, były starannie upięte w kok. Uśmiech miała szczerzy i pogodny, a w oczach błyskały młodzieńcze iskierki, mimo że jej twarz znaczyło już kilka łagodnych zmarszczek. W kuchni, żeby nie zabrudzić ubrań, Karolina nosiła zdobiony w kwiecisty wzór fatuch, który został po jej mamie. Naraz odwróciła się i zobaczywszy grymas syna skarciła go wymachując palcem.

– **Tylko nie zaczynaj znowu. Krupnik jest zdrowy, więc siadaj i jedz bez marudzenia.** – Oświadczyła stanowczym tonem, po czym odgarnąwszy z czoła kosmyk czarnych włosów, które niesforne uciekły ze splecionego koka, zatopiła chochlę w garnku. Zaraz potem przygotowała na stole cztery nakrycia. Obrus leżący nań już jakiś czas temu stracił swą śnieżnobiałą barwę i wciąż spoczywało na nim kilka plam, których nie można było doprać.

Chłopiec posłusznie zajął swoje miejsce i obrzucił smutnym spojrzeniem talerz znajdujący się tuż obok niego, po prawej stronie. Ten różnił się od innych. Cały obwód opatrzony był grubym, złotym paskiem. Jednak, mimo że był taki elegancki, nikomu nigdy nie dane było z niego jeść. Kobieta zawsze stawiała ten talerz na pamiątkę zmarłej córeczce, którą zabrał nowotwór płuc, jeszcze nim ta ukończyła cztery lata. Jej zdjęcie wciąż wisiało w przedpokoju opasane czarną wstążką. Karolina nauczyła się już powstrzymywać ataki smutku, lecz nawet po trzech latach, słone łzy wciąż bezlitośnie napierały na jej powieki.

Nim jednak padło jakiegokolwiek słowo, w domu rozległ się zgrzyt przekręcane go w zamku klucza.

– **Tata!** – Zawołał radośnie chłopiec, po czym zerwał się z krzesła i popędził do przedpokoju. Wojciech ledwie położył swoją torbę w progu, gdy syn wypadł na korytarz. Ojciec przykucnął i wyciągnął ramiona do Alka pędzącego w jego stronę.

– **Nasz mały urwis!** – Zawołał mężczyzna, gdy chłopiec wpadł mu w objęcia. Alek zaniósł się radosnym śmiechem, gdy ojciec uniósł go do góry i zrobił szybki obrót, ściskając syna w ramionach. Postawiwszy go z powrotem na ziemi, niespiesznie rozpiął guziki skórzanego kubraka i zawiesił go na stalowym wieszaku, któremu wyraźnie minęły już lata świetności. Zaraz na nim wylądowała licha czapeczka, która do tej pory zasłaniała ciemnobrązową, siwiejącą czuprynę mężczyzny. Rysy twarzy miał łagodne, a jego jasnoniebieskie tęczęwki były roześmiane, zwłaszcza, gdy spoglądały na twarz chłopca.

Alek, tchnięty duchem beztroskiej zabawy chwilowo zapomniał o obiedzie i popędził do salonu, gdzie czekał go jego ulubiony, jaskrawoczerwony samochód.

Wojciech tymczasem powędrował do kuchni, która kusiała zapachem świeżo ugotowanego posiłku.

Gdy tylko Alek zniknął w innym pokoju, pogodny wyraz spętał z twarzy mężczyzny, a do jego oczu wkradło się zmęczenie. Bez słowa podszedł do żony i przytulił ją. Ona jak zawsze, wręcz wtuliła głowę w jego ramię szukając tam swego rodzaju twierdzy, w której mogłaby się schronić chociaż na chwilę. Śmierć małej Ewy załamała kobietę i była gotowa się poddać, lecz każdej niedzieli słuchała, że trzeba iść naprzód. Wtedy nie widziała w tym sensu, ale postuchwała. Ze względu na męża i drugie dziecko każdego dnia znosiła kolejne cierpienia. Codziennie zamykając oczy, przed sobą wciąż widziała twarz małej dziewczynki, której dźwięczny śmiech wypełniał każdy centymetr ich małego mieszkania. Tak skupili się na powrocie do normalnego życia, że nie zwracali uwagi na informacje, jakie przychodziły z zachodu Europy. Oboje byli zgodni w tym, że nie są one warte uwagi. Gazety w poszukiwaniu sensacji zawsze wyolbrzymiały wszystkie wydarzenia i tak też było teraz, to nie podlegało wątpliwości. Kobieta westchnęła ciężko, a po chwili odsunęła się od męża i sięgnęła po wazę z zupą.

– **Siadaj, na pewno zgłodniałeś.** – Rzuciła nieco rozbawionym tonem chwytając za ucha porcelanowego naczynia. – **Alek!** – Zawołała przeciągle. – **Gdzie on znowu poleciał...** – Mruknęła ze zrezygnowaniem.

Wojciech uśmiechnął się niechętnie wypuszczając kobietę z objęć. Czuł jak wszystko zaczyna wracać do normy. Już zaczynał planować zakup nowych mebli, nie tyle z tego powodu, że ich po prostu potrzebowali, ale przede wszystkim dlatego, że chciał uczynić żonę szczęśliwszą.

– **Karolina, ja...** – Zaczął, lecz wtem na niebie rozległ się donośny jazgot. Piskliwy i nienaturalny. Zaniepokojony Wojciech szybko podszedł do okna i dłonią odchylił koronkową zasłonę. Ze zmarszczonymi brwiami rozglądał się za źródłem uciążliwego hałasu. Uniósł głowę, gdy nagle posępne chmury przebił samolot, potem kolejny i jeszcze następny. Nie minęła cała sekunda, gdy zza mgielnej bariery pojawiło się ich kilkanaście, szarżując na miasto, niczym plaga szarańczy. Wojciech cofnął się o krok wpatrując się w szklaną szybę z szeroko rozwartymi z zaskoczenia oczyma. – **Dobry Boże...** – Powiedział cicho.

Minęła krótka chwila, nim powietrze przeciął donośny świst.

– **Nie...** – Wyszepiała kobieta, kręcąc głową z niedowierzaniem. Z przerażenia nie domknęła ust, miast tego wypuściła ze spracowanych dłoni porcelanową wazę. Oboje ogarnął niemal całkowity paraliż.

Alek z autkiem w ręku wychylił się zza rogu i zdążył ujrzeć jedynie wazę roztrzaskującą się

o czerwoną terakotę na kawałki i rozchlapującą zupę na wszystkie strony, nim jego kamienicą wstrząsnęła potężna eksplozja, a mieszkanie wypełniło się piekielnym ogniem.

Chłopiec patrzył przed siebie, zwyczajnie nie poznając miejsca, w którym żył od urodzenia. Ze świeżo pomalowanego mieszkania zostały ponure zgliszcza. Pół budynku uległo zawaleniu, aż dziw że ściany ich mieszkania zupełnie się nie rozpadły. Płomienie wciąż tliły się w kilku miejscach, stanowiąc przerażający symbol zniszczenia, które przyniosła ze sobą wojna. Alek spojrzął w stronę, gdzie przed chwilą było okno zasłonięte koronkową firanką. Teraz znajdowała się tam ogromna dziura, która pożarła prawie całą ścianę. Powstał przez to przeciąg wprawiający w leniwy ruch dymiące jeszcze resztki materiału, które niegdyś były zasłonami. Spoglądając w dół, Alek dostrzegł rozległą plamę krupniku i kawałki porcelany rozsypane po całej podłodze. Chłopiec ze smutkiem spostrzegł, że wśród nich jest są również fragmenty oznaczone złotem. Ostatecznie eksplozja rozerwała na strzępy stół, nie wspominając o leżących nań talerzach. Po chwili Alek wyrzwał przez nowo powstałą dziurę i ujrzał płomienie trawiące całe miasto, budynek po budynku zostawiające za sobą jedynie proch i ruiny.

Chłopiec westchnął głęboko, po czym odwrócił się i ruszył korytarzem w poszukiwaniu rodziców. Wcześniej śnieżnobiałe ściany pokryte były teraz sadzą. Jedyne w nielicznych miejscach przebijała się biel. W powietrzu unosił się palący nozdrza, odór spalenizny. Alek przeszedł kilka kroków i wtem zatrzymał się gwałtownie nastąpiwszy na coś stopą. Schylił się i ujrzał miejscami zwęglony portret małej Ewki w roztrzaskanej ramce. Czarną wstążeczkę zdążył już strawić płomień. Chłopiec schylił się i wygrzebał zdjęcie spod szklanych odłamków. Przez chwilę wpatrywał się w znaczoną sadzą roześmianą twarz dziewczynki, lecz w końcu podniósł się i trzymając wciąż zdjęcie w dłoni znów ruszył przed siebie. Zajrzał do salonu, który był jego ulubionym miejscem zabawy z uwagi na liczną ilość torów przeszkód dla jego auta. W tym pokoju również w ścianie powstała spora dziura, która dawała widok na niewielki plac, wokół którego zbudowane były kamienice. Pośrodku stał niewielki klon dający odrobinę zieleni okolicy pokrytej szarą kostką brukową. Drzewo, które wcześniej dumnie rozpostarte rozpraszało ponure barwy kamienicy teraz zupełnie zwęglone chyliło się ku upadkowi. Poczerniałe gałęzie były całkowicie pozbawione liści, które każdego roku raczyły biegających wokół dzieciaków najróżniejszymi kolorami. Alka naszło wspomnienie, jak jeszcze wczorajszego popołudnia grał w cieniu jego pnia z kolegami w klasy. Jeden z nich, Antek zawsze wdrapywał się na swoją ulubioną gałąź i z triumfalnym chichotem spoglądał z góry na

resztę bawiących się dzieci. Ta sama gałąź, jeszcze wciąż trawiona przez ogień właśnie zaskrzypiała żałośnie i z trzaskiem zwała się na ziemię wzniecając wokół siebie iskry i suchy pył. Chłopak wyrwał się z zamyślenia potrząsając energicznie głową. Właśnie miał się odwrócić, gdy nagle coś przykuło jego uwagę. Czerwony błysk mienił się spod stosu drewnianych odłamków, które wcześniej połączone ze sobą tworzyły solidny, dębowy stół robiący na Alku wrażenie niemal niezniszczalnego. A tymczasem w ciągu jednej sekundy mebel rozsypał się, niczym domek z kart. Chłopiec ukląkł i zaczął nieśpiesznie rozgrzebywać ostatki tego, co godzinę temu było najlepszą skocznia świata. Po chwili jego oczom ukazał się samochód. Zdawał się być jednak zupełnie nietknięty. Na jego karoserii nie było ani rys, ani plam. Pojazd dumnie błyszczał ognistą czerwienią, nawet mogłoby się zdawać, że jest zupełnie nowy. Alek podniósł zabawkę i przycisnął ją do piersi, wciąż znajdując się na klęczkach. Odchylił lekko głowę znów spoglądając na dziurę w ścianie, którą bomba rozerwała na kawałki. Spojrzał daleko przed siebie z niedowierzaniem obserwując, jak sąsiednimi budowlami targają eksplozje, a z ulic dobiegają rozpaczliwe wrzaski i wołania o pomoc, które pozostawały bez odpowiedzi.

Wtem pomiędzy chmur wydarło się słoneczne światło, którego ciepły promień delikatnie musnął twarz chłopca. Alek poczuł rozlewające się w jego wnętrzu ciepło, które całkowicie kołło ból ogarniający jego serce. Uniósł lekko dłoń, by słońce przestało drażnić jego oczy.

– **Alek, chodź na obiad!** – Do uszu chłopca dobiegł dobrze znany mu, dźwięczny głos Karoliny.

Chłopak pociągnął nosem i powstał na równe nogi.

– **Już idę, mamó.** – Odparł półszepcetem, po czym podszedł do dziury w ścianie. W lewej ręce wciąż trzymał zdjęcie małej Ewy oraz wierny samochód towarzyszący mu od początku jego życia. Raz jeszcze rzucił okiem na opustoszały plac. Miotany gorącym powietrzem pył oraz resztki liści wirowały wokół powalonego drzewa, jakby prezentowały fałszywy taniec zwycięstwa. Alek zmarszczył brwi, lecz po chwili zamrugał kilkakrotnie i uniósł wzrok ku niebu, z którego chmury zaczęły się powoli rozpraszać. Słońce przestało być oślepiające, a przeciąg przestał być mroźny. Chłopiec wyciągnął prawą dłoń przed siebie jakby próbując coś sięgnąć. Zbyt wycieńczony otaczającym go chaosem pragnął ucieczki od zmartwień tego świata. Pod wpływem jednej chwili zarówno Alek, jak i trzymane przez niego przedmioty rozplynęły się w powietrzu. W tym samym momencie zawiął potężny podmuch wiatru powalający tańczące wiry i gaszący płomienie trawiące podupadły klon.

Scena z wojny wdzierającej się w codzienność podana w sposób głęboko przejmujący, choć bez epatowania okrucieństwem. Dziecięca perspektywa oglądu zniszczonego świata daje w tym opowiadaniu niezwykle efekt zatrzymania czasu i zdarzeń. Małoletni bohater rejestruje dosłowny rozpad rzeczywistości, doznając przy tym czegoś na kształt paraliżu emocji. Głos matki wołającej go na obiad jest w zakończeniu opowiadania głosem śmierci.



Wyróżnienie

w grupie wiekowej 16–19 lat

Piotr Dawidowski

z Grajewa, 17 lat

NOC ŻYWYCH PŁOMIENI

Ostatecznie, nie mogę sobie dokładnie przypomnieć... Nie potrafię. To był koszmar.

Wozem lekko chybotać. Wszędzie unosił się smród fekaliiów, brudu i nędzy. Byłem ściśnięty pomiędzy ludźmi. W półmroku widziałem ich twarze. Beznadziejność. Trwoga przytłumiona głodem i wychłodzeniem. Jechaliśmy już drugi tydzień. Skrzypienie drewnianych kół. Starcy, dzieci, kobiety z niemowlętami. Niektóre były już dawno martwe, a mimo to, matki nadal przytykały ich usteczka do piersi. Zupełnie, jakby zaraz miały się obudzić. Siedziałem oparty o ścianę wozu. Moje myśli dryfowały, byłem gdzieś między jawą a snem, kiedy usłyszałem po raz pierwszy ten głos. Głęboko w mojej głowie. Wyraźniejszy niż otaczająca mnie rzeczywistość. Ostrzejszy, niż panujący mróz: *Jestem wszędzie.*

Jesteście wolni. Słyszałem już go wcześniej. Na pewno. Obejrzałem się, kiedy nagle wóz zatrzymał się. Rozległy się krzyki. Ktoś wyjrzał. Drzwi były otwarte. Chwila ciszy.

– Też go słyszałeś? – obok mnie, jakby z nikąd, pojawił się mały chłopiec.

– Kogo? Nie wiem, o czym mówisz...

– Zaczęło się. Proszę pana~ – krzyki, światła na zewnątrz. Ludzie wybiegali z kibitki. Odbijają nas? Powstanie? Nie wiedziałem dokładnie, co się dzieje, chwyciłem więc rękę chłopca i wybiegłem z powozu.

Chaos. Ludzie wylewali się z korowodu powozów. Biegające płomienie. Mój wzrok mnie oszukiwał. Wojskowi płonęli. Konie cwałowały na wszystkie strony, próbując zagasić zajęte ogniem wodze. Podbiegł do nas jeden z tamtych. Strach w oczach. Spojrzałem na niego. Chciał coś powiedzieć, jednak z jego ust wydobył się rozdzierający wrzask, gdy nagle zapłonął, niczym polany naftą. Osłupiałem.

Strażnik przewrócił się i zaczął tarzać w śniegu, ale płomien przeżarł się już przez ubrania i za nic nie chciał się zgasić. Zastoniłem chłopcu oczy i popędziłem przed siebie.

Tłum ludzi otaczał nas ze wszystkich stron. Wszyscy biegli w stronę pobliskiego lasu, nagle rozpraszając się.

Zatrzymałem się. Widok ze wzgórza... zapadł mi w pamięci na resztę życia. Nie byłem w stanie uwierzyć. A widziałem. Widziałem konie, zapalające się puste kibitki, mrowie ludzi pędzących ostatkiem sił, widziałem chaos. Rosjan, gasnących jak świece, kiedy ich wrzaski cichły. Serce pompowało mą krew, jakby i ta miała za chwilę zapłonąć. Przecież w i d z i a ł e m

Bóg? Szatan? Kłęby dymu wznosiły się w powietrze, a pożar korowodu rozświetlał całą okolicę. Krzyki. Płacz. Spojrzałem na chłopca.

– Nie zostawi mnie pan tu? – zapytał z takim samym przerażeniem w oczach, jak ja

– Jak ci na imię?

– Natan.

– Natanie, obiecaj mi, że zapomnisz o tym, co tu widziałeś. Obiecasz?

– Obiecuję, proszę pana.

Spoglądając za siebie, ruszyliśmy w stronę lasu. Głodni, wyziębieni i przerażeni. W lesie było cieplej. Dużo cieplej. Pamiętam, że z drzew skapywała woda. Albo byliśmy bliżej Europy, niżby się to mogło wydawać, albo... albo...

Albo ktoś z góry nam sprzyjał. Uciekliśmy.

Sytuacja w mieście była jeszcze gorsza. Cokolwiek się działo, działo się wszędzie. Ludzie na ulicach. Trupy. Wszystkie spalone. Miasto zdawało się puste. Minęliśmy kobietę trzymającą w objęciach zwęglone zwłoki. Ilu ludzi straciło dziś swe rodziny? Dzwony wołały żałobnie. Stanęliśmy na placu, gdzie zwykle zapewne o poranku ludzie przekrzykiwali się w ofertach swoich towarów. Teraz był kompletnie pusty. Zawył wiatr, poranne słońce przykryły szare chmury. Podeszliśmy do wrót świątyni. Wewnątrz dało się słyszeć płacz i donośny głos kaznodzieja. Chłopiec spojrzał na mnie pytająco. Widział we mnie jedyną nadzieję w tym szaleństwie. Nie mogłem go zawieść.

– Chodź. To nasza szansa – pociągnąłem go za rękę.

Dostaliśmy się do pierwszej chaty. Wzięliśmy trochę jedzenia i przebraliśmy się w czystsze ciuchy.

- Będą na nas źli – powiedział chłopiec, zakładając białą koszulę i kożuch.
- Wybaczą nam – odrzekłem – oni bez tego przeżyją, my nie.

Natan spuścił wtedy wzrok i pokiwał niepewnie głową. Gdy wyszliśmy, ludzie opuszczali cerkiew. Dzwony jednak nie przestały bić. Minęliśmy kościół i skierowaliśmy się w dalszą część miasta. Wycieńczenie odbierało władzę w nogach. W ciemnym zaułku, okryłem płaszczem Natana i zamknąłem oczy. Swąd dymu był ostatnią rzeczą, jaką poczułem.

Obudziliśmy się o zmierzchu. Czerwona tarcza ziała prosto na nas. Szliśmy przez jedną z ulic, kiedy Natan zapytał mnie:

- A właściwie, to jak panu na imię?
- Michał – odpowiedziałem po dłuższej chwili.
- Pan jest Polakiem?
- Ciicho..! Nie tak głośno! Między nami, nazywasz się Jura, a ja Michał. Zrozumiano?

Natan pokiwał na tak.

– Dokąd idziemy? – zapytał po chwili

– Przydało by się nam schronienie. Może w okolicy mieszkał jakiś samotny żołnierz... – przez moje myśli przetarzał się płonący strażnik. Wrzask na chwilę mnie ogłuszył. Odcięto mnie.

– Halo! Słyszycie mnie? Proszę pana! Choruje na coś?

Przed moją twarzą dwoiła się kobieca sylwetka. Kucąca przy mnie. Miała niebieskie, duże oczy. Patrzyła na mnie z niepokojem.

- Długo spaliście na dworze? – usłyszałem.
- Świadomość wędrowała to do mnie, to w otchłań.
- Tak długo? Pomóż mi go podnieść. Jak ci na imię?

Jesteś wolny. Wszyscy są teraz wolni. Czuwam

Kim jesteś?

Cisza.

Iskrą tylko

Ciemność. Myśli przelatywały przeze mnie, jak woda przez sito. Bąble zmysłów dotykały powierzchni rzeczywistości, odbierając pojedyncze sygnały. Ciepło. Przyjemny blask ognia.

Miękka, pachnąca krochmalem pościel. Rozmowa.

Głosy układały się w zdania. Uchyliłem powieki. Siły wracały do mnie. Wspomnienia przysnute mgłą.

– Byliście tam wtedy?

– Tak... pan mnie uratował. Ludzie biegali, deptąc siebie nawzajem. Było dużo krzyków, ognia.

– Musisz być głodny, jedz, Natanie.

Usiadłem. Okład upadł z płaskiem na podłogę.

– Obudziliście się. Jak się czujecie, panie Michale?

Michale? Spojrzałem na chłopca, marszcząc brwi.

– Spokojnie, psze pana. Pani Katja nie z tych.

– Dasz radę wstać? – zapytała czarnowłosa kobieta, podchodząc do mnie.

Dałem radę.

– Ja... jak długo spałem?

– Parę godzin – kobieta imieniem Katja podniosła okład i dotknęła wierzchem dłoni mego czoła – gorączka wam spadała. Powinniście coś zjeść, panie Michale, jesteście osłabieni. Usiadłem do stołu. Nogi darty niemiłosiernie.

Katja krzątała się w kuchni. Dom był urządzony skromnie. Nad niewielkimi, ciemnymi drzwiami wisiał katolicki krzyż.

– Pani jest katoliczką? – zapytałem, przełykając kawałek mięsa.

– Tak, ale wierzę w tego samego Boga, co prawosławni. To co się stało... – odwróciła się w moją stronę – myślicie, że to był znak? – ścisnęła w dłoni mały wisior w kształcie krzyżyka.

Tamta noc uderzyła mnie w skroń, syknąłem z bólu.

– Zaczynają się dziać dziwne rzeczy – kontynuowała Katja – ludzie mówią o zamieszkach w Rzymie, krążą plotki, że ktoś zabił cara.

– Cara Rosji? – zapytał Natan

– Tak, Natanie. Nie wiemy, czy to prawda – odrzekłem chłopcu, odganiając zdezorientowanie – musimy pozbierać fakty. Pani~

– Mówcie mi Katja.

– Czy wiadomo coś jeszcze?

– Wieści rozeszły się bardzo szybko. Dziś rano znajoma powiedziała mi o upadku...

– Upadku?

Katja usiadła i westchnęła.

– Nie mam pojęcia, co się dzieje. Może to rzeczywiście koniec świata? – jej głos załamał się lekko.

Coś we mnie wezbrało. Siła. Kierunek. Cel. Muszę jej dać nadzieję...

– Nie mów tak. Cokolwiek to było, jeśli to był Bóg... To wymierzył on sprawiedliwość. To nie jest koniec świata. Jaki upadek, Katja?

– Rosja się rozpada. Nikt nie wie, co się dzieje. Ludzie nazywają to Upadkiem. Jeśli to nie koniec świata, to~

– Pani nie płacz! – odezwał się chłopiec – wszystko będzie dobrze.

Wstałem od stołu.

– A co z Polską?

Głos Katji był cichszy.

– Nie wiadomo.

– Katja, jesteśmy ci bardzo wdzięczni za pomoc, ale musimy iść.

Podszedłem do łóżka i wziąłem wyprany płaszcz.

Katja zakrywała twarz przy stole. Próbowwała być silna, widziałem to w jej zaciśniętych dłoniach. Próbowwała być silna ze wszystkich sił.

– Michał... Czy... czy wśród strażników, czy wśród strażników widziałeś wysokiego, niebieskoogiego blondyna?

– Twojego...

– Męża – odpowiedziała, wstając i ocierając twarz.

Nie... niemożliwe. To nie mógł być on.

– Nie, nie widziałem. Katja – podszedłem do niej – musisz teraz być silna. Nie wszyscy Rosjanie zginęli, może twój mąż właśnie wraca...

Ta kobieta potrzebowała nadziei, bardziej, niż ktorekolwiek z nas.

Brunetka pociągnęła nosem.

– Tak...tak, masz rację.

Wsunąłem rękę w rękaw płaszcza i spojrzałem na Natana znacząco. Zaczął się ubierać.

– Idę z wami.

Zaniemówiłem.

– Nie, Katja, nie możesz~

– Jeśli jest jakakolwiek szansa, że znajdę mojego syna...

– To musisz zostać w domu – dokończyłem. Była zdesperowana. Pójdzie z nami...

– Nie. Poinformuję sąsiadów, jeśli wróci, prędzej czy później go spotkam. Poza tym, jesteście bardziej wiarygodni, jeśli będziecie podróżować z Rosjanką.

– Ale~

– Idę z wami – rzekła pewnie. Sprzeciw nie wchodził tu w grę.

Wyruszyliśmy. Katja wzięła dwa konie i trochę pieniędzy.

Podróż

Im dalej posuwali się na południe, tym dziwniejsze docierały do nich wieści. Polska odzyskała niepodległość. Tydzień później wypowiedziano wojnę Austrii i Rosji. Michał, Natan i Katja byli świadkami bitwy dwustu Polaków przeciwko tysiącom Rosjan. Zwyciężyli Polacy. Polityczny placek Rosji był rozbierany od wschodu i zachodu. Ukraina walczyła z Białorusią, Japonia wgrzyzała się w Azję od wschodu. Mówiło się o geniuszu polskich strategów. Polska rosła w oczach. W Rzymie również wybuchło zamieszanie. Ludzie zmierzali tłumnie do świętych miejsc, modląc się gorliwie. W dniu, kiedy na ziemię zaczęły spadać martwe anioły. Na niebie również dało się zobaczyć znaki. Noce rozświetlane pasmami spadających gwiazd. Białe orły krążące po nieboskłonie. Śmierci w niewytłumaczalnych okolicznościach. Plotki o zabójstwie cara rozwiały fakty. Został poćwiartowany. Narzędzie nieznanne. Nikt jednak nie słyszał głosów. Nikt, z wyjątkiem Michała.

W każdym mieście ludzie krzyczeli o zbliżającym się końcu, o nawracaniu się, póki nadal nie płoną żywym ogniem. Niektórzy mówili o zwycięstwie szatana. Prawda była taka, że panował chaos.

W ich głowach. Na świecie. Coś wisiało w powietrzu.

Teraz, kiedy było ciepło, spali pod gołym niebem. Tego wieczora spotkali zakapturzonego jegomościa, z którym wymienili się informacjami. Polska stała się monarchią, Białoruś już w zasadzie nie istniała. Byli na terytorium Nowej Polski. Dowiedzieli się również, iż zawałiła się Bazylika Św. Piotra. Zginął papież i wszyscy kardynałowie, a od południa – w Afryce – wybuchła epidemia nieznannej choroby. Nic więcej nie udało się od jegomościa wyciągnąć.

Miał na imię Adam i postanowił towarzyszyć im w drodze do Litwy. Wracał z emigracji, był poetą. Michała zastanawiało, co napisze poeta o tym, co się teraz dzieje. W jakie słowa ubierze szaleństwo, jak zdefiniuje strach i beznadziejność. Żaden wiersz i żaden tren nie odda, jaką stratę właśnie ponosi ludzkość. 'Czyżby Bogowi skończyła się cierpliwość'? Zastanawiał się nocami Michał, kiedy nie mógł zasnąć, a przed jego oczami spadające gwiazdy rozdzierały firmament. Kiedy słyszał głosy w nieistniejącym języku. Głos. Głos tak mu znany, że nie mógł uwierzyć, iż go zapomniał.

– Daleko jeszcze? – zapytał któregoś razu Natan, kiedy drogi poety i wędrowców rozdzieliły się – dokąd jedziemy?

Michał nadawał cel i sens ich podróży. Problem w tym, że sam nie mógł go do końca znaleźć.

– Do Litwy. Miałem w Wilnie paru przyjaciół, chcę dowiedzieć się, czy wszystko u nich w porządku.

– Byłeś jednym z członkiem Towarzystw?

– Masz na myśli tych filaretów? To ty wiesz o ich istnieniu?

– Adam mi powiedział, że teraz ich poezja podbija świat.

– Nie, ale paru moich znajomych zostało za przynależność do nich wtrąconych do więzienia.

– Jeśli to prawda, i wszyscy służący carowi sptonęli, to chyba nie masz się czym martwić.

Miała rację... Jednak...

– Nie mam pewności. Ty z resztą też nie.

– Masz dziś pewność do czegokolwiek? – minęli uskrzydłone, nagie ciało młodego mężczyzny. Już dziś trzecie.

– Nie... – odrzekł – 'ale trzeba trzymać pozory' – dodał w myślach.

Kolejne dni przyniosły deszcz. Ciepły i przyjemny. Natan się rozchorował i musieli parę dni zagościć w Witebsku.

Spojrzałem w odbicie w lustrze. Broda. Jedyne znak, że upłynęły już dwa miesiące. Od śmierci koni (to, co zaraziło Natana i zdawało się przeziębieniem, uśmierciło wierzchowce) poruszaliśmy się pieszo, co znacznie nas spowolniło. Nadal byliśmy w Witebsku. Pomagałem

miejscowemu kupcowi, w zamian uzyskując informacje i dach nad głową dla naszej trójki. Spojrzałem w odbiciu na łóżko. Katja spała spokojnie, jej piersi podnosiły się powoli i opadały. Wziąłem brzytwę i ogoliłem się. Przepłukałem twarz wodą. Na zewnątrz panowała noc. Przepasałem się ręcznikiem i poszedłem do pokoju Natana. Spał. Gorączka spadała. Niepokoiło mnie jedno. Pod powiekami chłopaka, świeciły dwa błękitne światła. Niczym świetliki. Po raz trzeci z rzędu. Kolejny znak szaleństwa. Poprzedniej nocy usłyszałem ciało uderzające o ziemię za oknem. Myślałem, że to kolejny anioł, lecz myliłem się. Kupiec, mój pracodawca, leżał martwy, ściskając w ręce krucyfiks. Nie wytrzymał... Tego ranka będziemy musieli odejść. Położyłem się obok Katji, objąłem ją i próbowałem zasnąć. Jednak nie było to mi dane tej nocy. Bezimienny głos szeptał mi coś do ucha. Dźwięki kształtowały się w słowa.

Nie...Tylko...Był...Car... Już dobrze.

Następnego ranka byliśmy w drodze. Widziałem ludzi zakopujących skrzydlate ciała. Ci, którzy mieli silną wolę. Widziałem w nich silną wolę. Chowali te truchła, zupełnie jak poległych przyjaciół z pola bitwy. Odmawiali modlitwy i całowali krzyżyki na szyi.

Wilno

Zapukałem. Cyprian otworzył nam drzwi i zakrzyknął z radości. Powitał i ugościł nas sytym obiadem.

Myślałem, że jesteś w więzieniu! – rzekł radośnie, uściskawszy mnie serdecznie

– Cyprian Janczewski, miło mi, pani...

– Po prostu Katja.

– A ty młodzieńcze, jak masz na imię?

– To zależy, czy jest pan jednym z tamtych – odrzekł chłopiec, uśmiechając się.

– Nieźle go nauczyłeś, Michał. Ostrożności nigdy za wiele... Siadajcie, siadajcie.

Do stołu nakryła kobieta o brązowych włosach i oczach, zapewne żona Cypriana.

– Musieliście się natrudzić, żeby się tu dostać... – rzekł Cyprian.

– Wiele się wydarzyło... – odrzekła Katja.

– Ale to nieważne – sprostowałem – mówiłeś coś o więzieniu... ktoś tam jeszcze przebywa?

Cyprian zatrzymał łyżkę w pół drogi. Westchnął, zbierając myśli.

– Nie słyszałeś, prawda? – jego głos zmętniał – klasztor... ten od braci Bazylianów. Budynek służył tam za więzienie dla Polaków. Nowosilcow przesłuchiwał w nim ludzi i wykonywał wyroki...

– Zaraz, co masz na myśli? – nie byłem w stanie choćby udawać, że interesuje mnie jedzenie.

– Stało się coś... *niemożliwego*... Klasztor... Zwały ziemi wyniosły go w górę, wysoko na jakieś dwadzieścia sążni. Nikt od tej pory stamtąd nie wyszedł, ani nie wszedł.

– A co z Nowosilcowem? – zapytała zainteresowana Katja – nadal tam jest?

– Był tam przy Upadku, więc pewnie tak... Razem z resztą więźniów...

Krzyżyk wiszący nad drzwiami wejściowymi upadł głucho. Drzwi otworzyły się na oścież. Cyprian wstał, podszedł do drzwi i zamknął je na klucz. Nie podniósł krzyża. Katja uniosła brwi.

– Przepraszam. Nikt już chyba nie wierzy w Boga. Nie po tym, co się stało z Bazyliką w Rzymie...

– Anioły spadają z nieba... – wtrącił się Natan, ze smutkiem w głosie. Przez chwilę wszyscy skupili się na nim uwagę. Cyprian wrócił na miejsce i zabrał się za żeberka w sosie.

– Czyli... Czyli wszyscy nasi nadal tam są, z Nowosilcowem?

– O ile nie spłonął, jak reszta... Nie wiem, nie było mnie tam – stwierdził Cyprian, nie patrząc mi w oczy.

Chwila ciszy. Ani ja, ani Katja, ani Natan nie tknęliśmy przygotowanego nam jedzenia.

– Idę tam – rzekłem.

Cyprian przestał przeżuwać. Przełknął i napił się wody.

– Nie dasz rady, Michał – powiedział powoli. Czuję mocny uścisk Katji. Ona też nie chciała, bym tam poszedł.

– W każdej chwili mogę zginąć. Co za różnica, czy zrobię to, siedząc przy stole, czy upadając z czterdziestu metrów?

Cyprian wstał. Oparł się obiema rękami o stół. Głowę miał skierowaną w dół. Kaszłał. Zakrztusił się. Kaszel przerodził się w dźwięk duszenia. Podbiegłem do niego i chwyciłem w pasie. Cóż za ironia... Oczy wychodziły mu z orbit, płuca ledwo pobierały powietrze, twarz zczerwieniała. Ścisnąłem mocno jego brzuch, a z ust Cypriana wyleciał kawałek kości. Mężczyzna odzyskał oddech i łapał teraz powietrze głębokimi haustami.

Katja podeszła do odłamka. To nie była kość. Katja uniosła znalezisko w blask świec. Połyskiwało. Kryształ.

Wziętem go i położytem na stole. Cyprian wraz z żoną spojrzeli na mnie.
– Czy Katja i Natan mogą tu zostać?

Wielka Improwizacja

Na zewnątrz szalała burza. Pioruny przecinały niebo. Głos nie mówił nic od początku tego dnia. Od kiedy byłem w Wilnie. Klasztor... Zaraz, gdzie był klasztor? Zatrzymałem przechodnia. Wskazał palcem górę. Pulsujące błyskawice w chmurach. W jednym kierunku.

Stałem przed górą. Wypiętrzone bloki ziemi. Wytężyłem wzrok. Na samym szczycie – klasztor. Podeszedłem do podwalin góry. Zacząłem się wspinać. Wiedziałem już, co mam zrobić. Cel był tak blisko. Kulminium szaleństwa, jego epicentrum było w tym budynku. Moja podświadomość już wiedziała. Brnąłem w górę. Z góry zaś lunął deszcz. Ziemia stała się mokra i niestabilna. Zsuwałem się.

Nie

Lodowate krople deszczu spływały po mej skroni, mieszając się z potem.

– Szybciej, psze pana! – przekrzykiwał burzę Natan, jakieś dziesięć metrów nade mną, przy samym klasztorze.

– Natan?! Co ty tutaj robisz? – krzyknąłem, zaciskając ręce na brzdach i korzeniach w ziemi. Ledwo się utrzymywałem.

– Szybciej, szybciej, wścieka się!

– Kto? – zapytałem odruchowo.

– On – malec wskazał na klasztor – niemożliwe... Nowosilcow? Ale w takim razie...

Zsunąłem się trochę, chwila nieuwagi i już leżałbym na dole. Chwyciłem się wystającego korzenia.

– Czekaj tam na mnie!

Kontynuowałem wspinaczkę, gdyby nie łut szczęścia, nie dałbym rady. W końcu dostałem się na szczyt. Nade mną dziesiątki błyskawic pulsowały na niebie, gromiąc wszystko wokół. Natan spojrział na mnie świecącymi, błękitnymi oczyma i pomógł mi wstać.

– Co ty tu robisz?

– Szybko – ponaglił mnie chłopiec, szybko, do klasztoru, wścieka się!

Obejrzałem się na leżące w dole Wilno.

W jednej chwili. W jednej chwili wszystko runęło. Domy zajęły się ogniem, jak niegdyś Rosjanie przy kibitkach. Z okiennic i drzwi buchał dym. Wiatr podsycił ogień, a deszcz ustał. Widok tej sceny przywołał głos. Nasilony, znajoma barwa. Bezsensowne dźwięki. Jakby próbował coś powiedzieć...

Natan pociągnął mnie za rękę i weszliśmy do klasztoru. Gdyby nie to dziecko, pewnie rzuciłbym się w przepaść...

Zaraz po zamknięciu za nami drzwi nastąpiła cisza. Cisza grobowa. Spojrzałem na Nataniela.

– Jak się tu dostałeś?

– Tak samo, jak ty – odpowiedział z powagą w głosie. Przez chwilę, zdawało mi się, że spojrzał na mnie ze... współczuciem?

– Chodź – wziąłem go za rękę i ruszyliśmy korytarzem. Z drzwi po lewej wybiegł człowiek, ubrany w rosyjski mundur. Natan schował się za moimi plecami.

– Kapral?

– Michał?

– Bogu dzięki, myślałem że to znowu on płata nam figle.

On? Kim jest on?

– Gdzie reszta więźniów? – zapytałem

– Nie wiem, od dwóch godzin siedzę w celi i sam nie zamierzałem nawet sprawdzić. Szatan włada tym miejscem.

– Od dwóch godzin? – zapytałem, niedowierzając – chyba od dwóch miesięcy.

– Hm? Nie, to zaczęło się parę godzin temu.

Zwariował? Tak samo jak wszystko...

– Pomóż mi poszukać więźniów, to moi przyjaciele.

– Wziąłeś ze sobą syna? – zapytał zaniepokojony kapral. Szedł pierwszy.

– N–Tak. Nie ma dokąd pójść, boję się go zostawić samego.

Sprawdzaliśmy wszystkie cele po kolei. Wszystkie puste. Nagle kapral gdzieś zniknął. Razem z Natanem otwieraliśmy dalej cele, jedna po drugiej. Każdy dźwięk odbijał się głuchym echem. W końcu dotarliśmy do ostatniej. Głosy ucichły. Trzymałem Nataniela za rękę. Staliśmy w ciszy przez drzwiami. Szaleństwo hulało z wiatrem gdzieś bardzo daleko. Drzwi celi zaskrzypiały lekko. Wnętrze było okryte półmrokiem, jednak zobaczyłem wszystko.

Zakrwawiona podłoga i ściany. Ciuchy więzienne na środku pokoju. Podeszedłem do okna. Na ścianie wyryte było coś na kształt epitafium. Symetrycznie, boskim dźwiękiem.

***D.O.M. CONRADUS OBIIT M.D.CCC.XXIII CALENDIS NOVEMBRIS
HIC NATUS EST DEUS FECIT M.D.CCC.XXIII CALENDIS NOVEMBRIS***

– Konrad?

Witaj... Michale. I Ty, carze.

Kanon szkolnych lektur potraktowany jako źródło inspiracji owocuje tu demoniczną opowieścią toczącą się w scenerii rodzimego romantyzmu. Żywe dialogi, wartką fabułą i tajemniczy głos w głowie narratora, a zarazem głównego bohatera utworu – intrygują czytelnika od pierwszego akapitu. Ambitna, warta docenienia próba literacką wpisująca się w nurt, tak popularnej dziś, współczesnej powieści historycznej, czy wręcz historycznoliterackiej.





SPIS TREŚCI:

Jury Przeglądu	3
Fundatorzy nagród i przyjaciele Przeglądu	3
dr hab. Iwony Gralewicz – Wolny	
Przedmowa przewodniczącej jury	5
POEZJA	9
III nagroda za zestaw w grupie wiekowej 13–15 lat	11
Daria Socha z Bojszowy, 15 lat	
"Niemowlęta poezji"	13
"Nadzieja"	14
"Przebaczenie"	15
Komentarz	16
Wyróżnienie za zestaw w grupie wiekowej 13–15 lat	17
Paulina Tyc z Paweli Małej, 14 lat	
"Granica"	19
"Sterowany przez czas"	20
Komentarz	21
I nagroda ex aequo za zestaw w grupie wiekowej 16–20 lat	25
Marta Tychowska z Biedzychowic Dolnych, 18 lat	
"Cisza"	27
"Nadzieja"	28
"Winna"	29
Komentarz	30
I nagroda ex aequo za zestaw w grupie wiekowej 16–20 lat	31
Aleksandra Piłat z Opola Lubelskiego, 17 lat	
"*** (nikt nie dba)"	33
"*** (jestem)"	35
"*** (kim jest ten człowiek)"	36
Komentarz	37

PROZA	41
Wyróżnienie ex aequo w grupie wiekowej 10–12 lat	43
<i>Kalina Wójciak z Dębicy Kaszubskiej, 11 lat</i>	
" Pompek Kaliny "	45
Komentarz	50
Wyróżnienie ex aequo w grupie wiekowej 10–12 lat	51
<i>Emilia Górecka z Rudy Śląskiej, 11 lat</i>	
" Tajna misja opuszczenia pokoju "	53
Komentarz	57
III nagroda w grupie wiekowej 13–15 lat	61
<i>Julia Rupik ze Świerczyńca, 15 lat</i>	
" Biały pokój "	63
Komentarz	69
Wyróżnienie ex aequo w grupie wiekowej 13–15 lat	71
<i>Michalina Baros z Lęborka, 15 lat</i>	
" Lekarz dusz "	73
Komentarz	80
Wyróżnienie ex aequo w grupie wiekowej 13–15 lat	83
<i>Zuzanna Wojtachnia z Jantaru, 14 lat</i>	
" Wtorek, dzień jak co dzień "	85
Komentarz	89
I nagroda w grupie wiekowej 16–19 lat	93
<i>Natalia Nowaczyk z Wielenia, 18 lat</i>	
" Po drugiej stronie lustra "	95
Komentarz	100
II nagroda w grupie wiekowej 16–19 lat	101
<i>Weronika Jońska z Cisewa, 18 lat</i>	
" Paź snów "	103
Komentarz	107

III nagroda w grupie wiekowej 16–19 lat	109
Karol Szewczuk z Lublina, 18 lat	
"Proch i ruiny"	111
Komentarz	116
Wyróżnienie w grupie wiekowej 16–19 lat	117
Piotr Dawidowski z Grajewa, 17 lat	
"Noc żywych płomieni"	119
Komentarz	131
Spis treści	133

